



## CZARNA PERŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWITĘ.

(CIAĞ DALSZY.)



oktor zapisawszy sobie numer domu, w którym wdowa mieszkała, nazajutrz około południa nie zapomniał wstąpić na Dziekanę. Oswojony z wewnętrzną ekonomiką starych domów Warszawy z łatwością trafił do tego mieszkania, które się znajdowało w dziedzińcu i należało do najbiedniejszych. Wdowa zajmowała dwie izdebki ciemne z małą sionką przepierzoną na dwoje, tak że w połowie jej ciasna jeszcze mieściła się kuchenka.

Z imienia syna jej Zbigniewa, jużby baczny postrzegacz obyczajów domyśleć się mógł charakteru matki, która tę szumno-brzmiającą i romantyczną nazwę narzuciła dzieci, na ubóstwo i walki niegłośnie przeznaczonemu. I nie omyliłby się...

Matka Zbigniewa, niegdyś wychowawca i garderobiana możnego domu, nosząca nazwisko szlacheckie, piękna za młodu, wyuczona przy panienkach trochę francuzczyzny, wypieszczona przez męża, była jedną z tych nieszczęśliwych istot, którym się zdaje przez całe życie, że los je najniesłuszniej pokrzywdził, że opatrność była im dłużną wiele... że nie są na swem miejscu...

Taką była istotnie nieszczęśliwa, dobra, zacna ale ostatecznie śmieszna pani Amelia Matuska.

Za życia męża mieszkając na folwarku, gdy on ekonomował, zamiast kur pilnować, ubierała swoje izdebki, siebie, dziecko, czytała romanse francuzkie, unosiła się nad naturą... zajmowała politykę i grała rolę wielkiej pani,

którą wypadki nieszczęśliwe na stan nieznośny skazały.

Życie jej całe było zwichnięte, nędzy bronila się nie pracą ale łzami i lamentem; z losem pogodzić się nie mogła nigdy, z utratą wdzięków oswoić... Trzymała na loteryi w przekonaniu, że pan Bóg tylko czekał zręczności, żeby jej wynagrodzić chwilowe zapomnienie, marzyła o sukcesyi jakiejś, o cudach, a pół dnia kładąc kabałę często zapominała, że trzeba było dopilnować obiadu.

Wychowanie syna nieco tych nieszczęśliwych usposobień było wynikiem... Zbigniew pieszczony stracił energią zawczasu, więcej umiał rzeczy miłych niż potrzebnych, i byłby może stał się tak nieszczęśliwą jak matka istotą, gdyby nie wpływ Lenory, która go wzięła w opiekę, w której się on zakochał namiętnie... a ona inne mu zadań życia dając pojęcie podniosła go i pokierowała nim wlewając nowego ducha...

Pani Amelia, ubóstwiając syna, taki los mu gotowała jak sobie... Szczyściem w porę jeszcze chłopak posłyszał z ust wdzięcznych prawdy, które do jego przekonania trafiły. Zostało w nim coś z matki, ale nowa nauczycielka pchnęła go na lepszą drogę...

Z takim usposobieniem, jak matka Zbigniewa, rzucaną być w życie nędzy, pracy i w cień a kąt społeczeństwa, jest niewypowiedzianą męczarnią. Biedna kobieta trawiła dnie we łzach, nocy na westchnieniach. Mieszkanie jej zdradzało najlepiej charakter, przy największym niedo-



statku bezsilne staranie o jakąś niemożliwą, nieszczęśliwą elegancją, okrucy lepszych nieco czasów... wszystkie zmyślenia, na jakie zdobyć się może ubóstwo, które ukryć się i zamaskować pragnie.

Coś bardziej tragicznego a razem więcej do smutnego śmiechu pobudzającego wymyśleć trudno.

Pierwszy pokój, do którego wszedł doktor, miał widoczną pretensją być salonikiem. Stół okrywała kolorowa nigdy serweta, stał na nim jakiś otłuczony wazonik ze zwiędłym bukietem; na kulawej szafeczce ponastawiano umiejętnie obłamanej porcelany tak, aby jej kalectwo zamaskować dla patrzącego... W oknach były firanki perkalowe ale pąsowe i z frezłami, trochę kwiatów w wazonach.

Wśród tego biednego ciemnego saloniku siedziała wdowa, blada, z twarzą wyniszczoną, w odzieży starej i zużytej, ale skrojonej i poprzybieranej tak, aby robiła złudzenie modnego kroju i formy, w chustce wyszarzanej, w rękawiczkach, bez których się ruszyć nie mogła.

Na widok nieznanego przybrała ton i postawę teatralną wielkiej pani, zesnurowała usta i posunęła się ku doktorowi, cała w ruchach wymuszonych a dla patrzącego bolesnych.

Jeden rzut oka starczył staremu do objęcia sytuacji, do zrozumienia tej niedoli nad wszelki wyraz boleśniejszej. Jak strój tak mowa pani Matuskiej chciały dowodzić i lepszego nigdy bytu i staranniejszego wychowania.

— Jestem doktor S. — rzekł przybyły — miałem przyjemność poznać syna pani, a że i o nim chciałem się z panią rozmówić i spytać o jej zdrowie, zaszedłem sam się zaprezentować.

— Nieskończone dzięki winnam konsyliarzowi — odparła wskazując krzesło kobieta, sama zajmując pompatycznie na kanapie miejsce. — W istocie moje zdrowie tyłu przeciwnych losów razami skołatane w najopłakańszym jest stanie. Widzisz nas pan w smutnym nader położeniu, które litość serc szlachetnych obudzać powinno... Nie byłam zrodzoną do tej doli, którą mi ręka zawistnych przeznaczeń zgotowała... ale umiem cierpieć... Jestem z domu Zamierzychowska...

Doktor niewiele zrozumiał, co rodzina Zamierzychowskich mogła mieć za znaczenie, ale głowę skłonił z uszanowaniem.

— Tak jest, jestem z domu Zamierzychowska, odebrałam wychowanie u mych krewnych, bogatych...

— Pani dobrodziejko — z przestrachem spoglądając na zegarek odezwał się doktor w obawie szczegółowej biografii — czy nie mógłbym wiedzieć, co pani cierpi?

— A! panie! — załamując ręce, rzekła Matuska — co ja cierpię, to się w słowa ująć nie daje... Cierpię duchowo i cierpię cieleśnie... palpacyjne serca... nerwowe okropne boleści, bezsenność... osłabienie, kurcze... śmiech serdeczny często...

Doktor wziął za puls. Wycieńczenie i osłabienie było wielkie, stan chorej istotnie dość groźny... ale nań niestety nie lekarstwo, tylko spokój i szczęście mogły być ratunkiem. Po kilku zapytaniach wiedział konsyliarz, że chcąc ją dźwignąć, trzeba było naprzód los lepszy zapewnić.

— Powiedz mi pani, czym syn się jej zajmuje?

— Mój anioł! Zbigniewek, ach! panie — łamiąc ręce krzyknęła z bolesnym wyrazem — zdaje się, że odziedziczył po mnie mą rolę... Jest to najpiękniejszych zdolności młodzian, pełen talentów, uczuć wzniosłych, mogę powiedzieć śmiało geniusz... a jednak zapoznany! Nie pozostało mu nic, tylko bakalarstwo, nędzne bakalarstwo... a teraz nawet pokutuje za to, iż zdrowymi, patriotycznymi zasadami chciał karmić powierzone mu młode pokolenie... i nie ma zajęcia. Ci arystokraci wypowiedzieli mu wśród roku! Tyrani!

Doktor się zamyślił.

— Jestto w istocie zawód — rzekł — w którym trudno dogodzić i sumieniu własnemu i wymaganiom często zaślepionych rodziców... ale przy zdolnościach pana Zbigniewa czyby on nie mógł jeszcze rozpocząć nową naukę i usposobić się do nowego zawodu?

— Do jakiego? — spytała wdowa.

— Jako doktor naturalnie pierwszą myśl mam, iżby się mógł na medyka wykształcić...

— Panie! to dziecię pełne uczucia... czyżby on wytrzymał... trupy... rany... okropne widowisko znikomości ludzkiej...

Konsyliarz się uśmiechnął.

— Wytrzymałby — odpowiedział — powinien mieć na to dosyć charakteru, jeśli jest usposobiony, radzę i życzę... Pomogę mu może do uzyskania stypendyum... Powiedz mu pani, że ja myśl tę przyniosłem, i że pragnąc przyjść w pomoc im, mocno ją popieram.

— Ale serce macierzyńskie!

— Właśnie ono powinno dla jego własnej i dla przyszłości pani skłonić go do uchwycenia się tego projektu.

Wdowa zakryła oczy chustką.

— Niestety! — wyjęknęła — losy są okrutne... Powiem mu to, ale pozwolisz, szlachetny nasz dobroczyńco, aby mój anioł sam przyszedł jeszcze rady twej zasięgnąć.

— Owszem, proszę o to, bardzo mi będzie miło. Co do pani — dodał konsyliarz — jeżeli można zmienić mieszkanie na suchsze i cieplejsze, a pokarmy starać się by były posilne, nadewszystko zaś uspokoić się na duszy, nabrać męstwa... otuchy...

— Jest że słaba niewiasta do pokonania gromów losu zdolna! — odparła pani Matuska.

W ten sposób ciągnęła się rozmowa wykrzyknikami, gdy szczęściem anioł Zbigniew nadszedł, a ujrzawszy doktora, nieco zmieszany, rzucił się mu za dobroć jego dziękować.



— Zbisiu mój złoty!— biorąc go w objęcia odezwała się pani Matuska— ten mąż pełen dobroci i wzniosłych uczuć przyniósł nam promień pociechy... dziękuj mu... i mów z nim, gdyż mnie głębokie wzruszenie nie dozwala; i przebaczy mi konsyliarz, iż ukryć muszę łzy moje przed dnia natrętnego światłem...

To mówiąc i skłoniwszy się nieco, wysunęła się biedna kobieta do drugiego pokoiku. Zbigniew z synowską czułością całując ją po rękach, odprowadził do drzwi i spiesźnie do doktora powrócił.

— Daruj pan — zawołał — biedna matka moja podrażniona jest, słaba, i trudno jej o czemkolwiek mówić bez zbytniego wzruszenia. Jesteśmy biedni—dodał cicho—bardzo biedni... Załamał ręce...

— I dlatego heroicznego trzeba szukać lekarstwa, aby wyjść z tego położenia — rzekł doktor. — Moją radą jest, abyś waćpan wziął się do medycyny, ja dla pana uzyskam stypendyum, pięć lat gorliwej pracy da ci niezależność.

Zbigniew uściśnął go wzruszony.

— A! panie! a cóż przez pięć lat nauki stanie się z nią? Pokazał na drzwi. — Ja muszę na chleb zarabiać...

— Na to wszystko po troszę da się poradzić; przyjdź do mnie, pomówimy. Nie rozpaczaj, nie trwóż się i staraj matkę ukoić... Jesteś pocziwym synem... ludzie i opatrność ci pomogą...

A teraz — szepnął doktor — mam ci zwiastować dobrą nowinę, za którą ci się też nagroda należy, boś się przyczynił do spełnienia gorących życzeń panny Lenory. Hrabina obydwą fortepiany zwróciła właścicielce... było z tem trochę kłopotu... Pleyela dziś odkupił Hermann, najęto drugi pokój i w nim stanął Erard... Przyszedłszy więc do swej dawnej protektorki usłyszysz muzykę.

Zaczerwieniony z radości, rozczulony do łez, zapomniawszy o winnem uszanowaniu, Zbigniew począł doktora ścisnąć i całować.

— A! pan jesteś nieocenionym dobroczyńcą ludzkości! pan jesteś...

— Dajże mi pokój... ja jestem doktor i nie mam czasu, zatem muszę spieszyć... Bądźcie państwo zdrowi i dobrej myśli. Pożegnaj matkę odemnie.

Na te słowa teatralnie otwarły się drzwi drugiej izdebki, pani Matuska wyszła wlokąc za sobą ogon sukni, i drżącą dłoń podała doktorowi, drugą kładąc na sercu.

— Wdzięczność ku tobie, panie, nigdy w niem nie wygaśnie! Żegnaj mi dobroczyńco ludzkości i chlubo!

Nie będziemy malować tej chwili, gdy niespodzianie dwa fortepiany przywieziono przed pałac, i Lenora struchlała na ich widok, nie wiedząc co pocnie z nimi. Szczęściem doktor czatował pocziwy, aby ją wywieść z kłopotu, i energicznie się zajął pomieszczeniem. Lenora

Erarda sprzedać nie mogła, bo to był dar tej matki przybranej, którą kochała teraz jak ubóstwioną istotę, mieszkającą w niebiesiech, po której każda pamiątka była relikwią... Pleyela pozbyła się chętnie i łatwo, a doktor ułatwił przynajęcie drugiego pokoju, w którym go postawiono.

Ten dla kogo muzyka stała się nałogiem, potrzebą, pokarmem ducha, pojmie pierwszą chwilę rokoszy, jaką zbliżenie do Erarda napoiło Lenorę. Ale ten śliczny, śpiewny fortepian, niestety przypominał jej czasy, których przypomnienie łzami oblać musiała. Z trwogą i poszanowaniem zbliżyła się do niego, nie śmiała dotknąć... potem uderzyła w klawisze, rozplakała się, uciekła. Każda z tych melodi wyuczonych niegdyś, których staruszka z rozrzwinieniem słuchała, uprzytomniała stracone szczęście, żywo przywracała czasy niepowrotne... i rozdzierała serce... trzeba było walczyć z sobą... aby zwyciężyć żalobę przypomnień a odżyć ich pokarmem... Nie jeden dzień upłynął na próbach, łzach i gorączkowych porywach... aż wieczorem narreszcie przemógłszy się Lenora, dała pochwyć potędze muzyki, której była spragnioną... płacząc rozogniła się dźwiękami, które dla niej nowy urok miały teraz, po długim odłączeniu... i zapomniawszy o świecie całym poczęła grać namiętnie, szalenie aż do takiego znużenia, że gdy naostatek dłoniom drżącym sił zabrakło, rzuciła się złamana na łóżko i nie mogąc sukni zrzucić przetrwała na niem do rana, w marzeniach i gorączkowej extazie.

Są organizacye, dla których muzyka wedle dowcipnego wyrażenia francuzkiego pisarza jest najkosztowniejszym z hałasów, ale są inne posiadające szósty zmysł harmonii, dla których ona pokarmem, ciałem myśli nie mogących inaczej się uprzytomnić, światem całym niedostępnym mowie, nie dającym się odtworzyć barwą, ni linią, ni słowem... ni światłem, ni żadnym z języków, którymi mówi stworzenie o niestworzonym... o nieśmiertelnem. Dla tych istot równie ona nieodbitą do życia w pełni jak słońce, powietrze, jak pieśń, jak chleb, jak idea Boga... jak wiara w nieśmiertelność.

Można ubolewać nad nieczującymi muzyki i pozbawionymi jej zmysłu, można równie boleć nad tymi, co mają jedną więcej potrzebą duszy, jednym więcej serca nałogiem... ale się nie godzi szydersko uśmiechnąć ani z kalectwa jednych, ani z drugich exaltacyi.

Lenora należała do tych nieszczęśliwych, co słuchając pieśni mogą zapomnieć o chlebie. I w pierwszych dniach mimo walki z ideą obowiązków, mimo planów pracy... robota została zapomniana... igła odrzuconą... potrafiła nawet o jutrze nie myśleć...

Grała zapamiętane... Każdy z tych zeszytów znanych, kochanych był nieprzewyciężoną pokusą. W chwili takiego upajania się, drugiego czy trzeciego dnia zapukano tak silnie do drzwi, iż wreszcie pobiegła usłyszawszy otworzyć.



Ledwie się one odemknęły... wpadająca jak piorun mała osóbką rzuciła się jej na szyję.

— Lenorka! droga Lenorka! moja droga sierotka!!

Tak pani Laura witała tę, której największą życia dała osłodek...

— Cóż się z tobą dzieje? mój Boże... nie mogłam dotąd dopytać schronienia twojego? Czemuś się kryła? dla czego nie dałaś mi znać? nie chciałaś uwierzyć w serce moje! A! zatobym cię polajac powinna!

— Pani droga — odpowiedziała zmieszana Perelka — tysiąc się przyczyn składało na to, bym musiała zamknąć się w ciszy i samotności. Smutek, którym się dzielić z nikim nie miałam prawa, zwątpienie o sercach ludzi, moje ubóstwo i duma... i pewien rodzaj rozpacz.

— A! rozumiem przez połowę — zawołała Laura już poczynając rozglądać się po pokoju — ta niegodna Pyza, ten Alfredek! ta cała familijka... ich nieprzebaczone postępowanie... Wierz mi jednak, miałaś za sobą wszystkich... oburzeni byliśmy... wszyscy ci życzą dobrze, gotowi podać rękę...

— A ja chciałam własnym tylko przyszłość być winna.

— Tak! tak! ale nie igiełce! ja wszystko wiem — prze-rwała Laura — co za dziwactwo, tobie zostać szwaczką, kiedy masz w tych rączkach skarby, które dotknięciem palca stworzyć ci łatwo...

— A pani! nadtoś łaskawa.

— Nie! nie! zobaczysz! teraz ja cię nie puszczam, nie dam żyć w kątku! Będziesz jak byłaś heroiną naszych salonów, choćby w perkalowej sukience... Ja ci nie pozwolę żywą się zagrzebać... a Pyza pęknie ze złości.

Trudno w istocie zgadnąć, czy zacna pani Laura pomagać chciała sierocie przez miłość dla niej, czy przez nienawiść dla hrabiny. Ona sama analizy tego uczucia zmieszanego z dwóch dokonaćby nie potrafiła. To tylko pewna, że najmocniejsze miała postanowienie, swymi wpływami naprawić losu omyłkę i przywrócić Lenorze jej stanowisko w towarzystwie.

Wpadła rozpatrując się ciekawie po kątach do drugiego pokoiku, zobaczyła roboty porozpoczynane, izdebkę ubogą, ślady życia samotnego i pustelniczego, dzbanek z wodą, bułkę chleba i garnuszek od mleka, i fajerkę, na której grzała je sobie Lenora.

— O! tego nie ścierpimy — poczęła wołać gorąco — tybyś się tu głodem zamorzyła, gdy twoje talenta, twoja główka, twoja piękność, twoje wychowanie dają ci wszelką łatwość zdobyć sobie pozycją niezależną i świetną.

— Jak? — spytała Lenora.

— To moja rzecz! Jutro mieć będziesz uczennic, ile zechcesz, staniesz się lwicą... będą się dobijać o ciebie. Ja ci rękę... ale musisz mnie słuchać...

— Siądź kochana pani — odezwała się na to Lenora — i posłuchaj mnie z trochę cierpliwości. Ten świat, na który

mnie ciągniesz, znam, bom na nim była, bom się wśród niego wychowała. Wiele na nim serc pocziwych, ale zepsutych więcej jeszcze. Co ja zyszczę, wpraszając się tam, gdzie właściwie prawa nie mam się znajdować? Pozostanę zawsze tam cudzą, zawsze gościem, i czuć będę, żem z łaski przyjęta.

— Dla czego — pospiesznie zaprzeczyła Laura — w towarzystwie lepszym... wychowanie jest wszystkim. Nikt ci pochodzenia za złe mieć nie będzie. Czasy nie potemu. Zresztą wszędzie potrafisz być sobą i na miejscu. Schodząc w te sfery, w których cię jeszcze mniej zrozumieją niż my, na dobrowolne narażasz się męczarnie; z nami możesz być narażoną na walkę, ale któraż z nas żyje bez niej? I co znaczy walka, gdzie zwycięstwo pewne...

— Zostaw mnie pani w mojej izdebce — błagała Lenora.

— Zawsze kiedy zechcesz wrócić do niej i pozostać w niej będziesz mogła — ofuknęła Laura — a dla fantazyi ginąć z głodu byłoby niedarowanym samobójstwem... Bądź co bądź jesteś u mnie dziś wieczorem na herbacie.

Lenora zadrzała i pobladła.

— A! pani! nie wymagaj!

— Co za tchórzostwo! nie pozwolę na to! nie mogę, nie powinnam... Musisz... i musisz grać i będziesz wesołą, ażeby tym ludziom pokazać, że się bez nich doskonale obejść potrafisz...

— Tak mi już było spokojnie — dodała Lenora — po cóż?

— Po to, ażeby pokazać, że nie oplakujesz utraty położenia, bo je sobie sama wyrobić potrafisz.

Spojrzała na nią bystro, potem zaczęła ścisnąć, całować, szeptać, śmiać się, nie dozwoliła mówić, nie słuchała zarzutów i... zwyciężyła. Lenora zgodziła się ukazać u niej, chociaż nie łudziła się tem wcale, iż teraz nanowo wchodząc w świat, z którego pogardliwie wypchniętą została, wiele mieć może do zniesienia.

Zaledwie to przyrzeczenie od niej otrzymała Laura, wyściskawszy ją nanowo, już poprawiała szal i ubierała się, bo pilno jej było swoją herbatę tak urządzić, aby jak najwięcej miała rozgłosu. Znano zręczność pani Laury w poprowadzeniu podobnych interesów; teraz już ściskając i umawiając się ostatecznie o godzinę, o strój, (bo wszystko chciała sama rozporządzić) myślą była gdzieindziej i program swój wykończyła...

Drzwi się zamknęły; Zara została sama i usiadła zamyślona... z bijącym sercem... Nie bez wpływu była na nią żywość Laury, jej męztwo i wymowa; mówiła sobie, że powinna walczyć i nie dać łatwego nieprzyjaciołom zwycięstwa; czerpała odwagę w poniżeniu chwilowem... Nie tyle pragnęła tryumfu nad ludźmi, którzy ją pragnęli widzieć zabita i odrzuconą... jak raczej usprawiedliwić swą przybraną matkę, na której pamięć spadało podejrzenie słabości śmiesznej lub dziwactwa.



— Stanie się wola boża — rzekła w duchu — ale dla szczęścia mojego nie będzie żadną zdobyczą powrót do ludzi, między którymi a mną istnieje nieprzebyta nigdy granica... Sierota, cyganka, lwicą będę dla nich... rodzajem ciekawego zwierzątka, które jak Munito, pomimo że zwierzę, umie rachować i zgaduje dni miesiąca...

Na te rozmysły smętne wszedł Zbigniew z trwogą młodzieńca, który ubóstwianej istoty próg przestępuje... Biedny chłopak blady był, zmęczony... smutny także. Lenora spojrzała nań ze współczuciem, podała mu rękę i usiłowała przybrać weselszą twarz, aby z tego wiekuistego kwilenia go wywieść, do jakiego był nawykły przy matce.

— Byłeś pan zwiastunem nowej ery dla mnie — zawołała — pan mi dobrem sercem wyprorokowałeś powrót straconego fortepianu... a teraz nawet zwiastuję mu, że dziś jestem wieczor na świetnej herbacie i... z pustelniczy na wietrznicę się przerabiam.

Zbigniew zbladł, nie uszło to jej oka.

— Dokądże? kto?

Ale wśród rozpoczętego pytania zamilkł, pomiarkowawszy, iż się wydać może z uczuciem pewnej zazdrości, którego doznał słysząc o zmianie życia i wyjściu z samotności. Zakochany nie wątpił, iż wszyscy w Lenorze kochać się muszą... gryzł się już tęp, że uleci mu w strefy, do których on nie będzie mieć przystępu.

Dom pani Laury był dobrze znanym w Warszawie, nawet tym, co jak Zbigniew ani do niego ani do żadnego innego nie mieli przystępu... Wiedział on, że się tam najróżnorodniejsze ale świetne i wybrane gromadziło towarzystwo, że obok arystokracji rodu, grosza, miała zaszczytne w niem miejsce, arystokracja nauki, talentu i pracy. Obok tych świetnych gwiazd biedny Zbigniew sam sobie wydawał się pyłem i nicością.

Spojrzał słuchając tłumaczenie Lenory z tak błagającym o litość wejrzeniem, iż go zrozumiała.

W sercu jej było dlań wiele współczucia, przyjaźni... ale czy się zrodziło coś więcej nad nie do tej chwili, ani ona nie wiedziała, ani my odgadnąć możemy. Był to jej protegowany, jej druh i sługa... ale jak Zbigniew nie śmiał nawet myślał sięgnąć do serca, tak ona nie spytała się nigdy siebie, czy mu je oddała... Coś braterskiego było w tym związku na pozór chłodnym a silniejszym od wielu wybuchów płomiennych...

Po krótkiej rozmowie Zbigniewowi tak się smutno zrobiło, iż musiał ją pożegnać, aby pójść tę boleś w samotności przecierpieć.

Laura tymczasem biegła po znajomych, a że jej kalibru gosposiom zwykło się szczęścić, bo one fortunę za czuprynę chwycić umieją, spotykała tego dnia właśnie tych, których znaleźć pragnęła; nawijali się jej pożądani... zastała w domu swe znajome panie z obozu przeciwnego hrabinej i podintrygowała tak, że któraś z przyjaciółek

podjęła się namówić hrabinę samą, by na herbatę (był to dzień zwykły przyjęcia pani Laury) przybyła.

Wcześniej uśmiechała się temu spotkaniu pani Laura; wprawdzie miało ono zdecydować otwartą wojnę między Pyzą a nią, ale tę przedziej później rozpocząć i prowadzić stawało się koniecznym. Szło jej też o to, aby mężkiej młodzieży miała dosyć; trafiła na pana Zygmunta Haraburdę na wystawie obrazu jakiegoś, w ulicy zaprosiła pana Romana Junoszę Zarybskiego, jakiemuś kuzynkowi dalekiemu, który służył do szczególnych poleceń, kazała zwerbować jeszcze kilka gwiazd tegorocznego zodyaku. Zacie-rała ręce, śmiała się, biegła, dysponowała ciastka, słała po owoce, Stefcie pędzała po domu, aby nic do herbaty nie zabrakło, wcześniej nawet przysposobiła sygara dla mężczyzn, bo sama paliła, i u niej obok salonu był fumoir każdego wieczora.

Wedle umowy Lenora przybyła wcześniej bardzo, aby uniknąć zbyt widocznego i kłopotliwego wchodzenia na salon. Pani Laura jeszcze się przystrajała i perfumowała przed zwierciadłem, gdyż niezmiernie była staranną około siebie i bardzo racjonalnie tem troskliwszą się stawała, im okropniej brzydła. Słyszcząc nadchodzącą odwróciła się i krzyknęła z radości.

Lenora w istocie tego wieczora była do oczarowania piękną, a urok, który ją otaczał, tem silniej działał, że cała postać, twarz, wyraz uderzały oryginalnem czemś, niewidzianem, odrębnem... Wśród stu można ją było wyróżnić jakby innego świata dziecię... rysy, oko, wejrzenie, płeć ciemna, włosy czarno-sine... kibić giętka i sprężysta odznaczały ją wśród północnych niezabudek. Malarz myślał o Judycie patrząc na nią... śniły się Włochy w jej oku... wschód z podaniami o boginiach nad-gangesowych otaczał aureolą jej czoło... trudno było odgadnąć, kto ona, z kąd, ale każdy czuł, że to gość z innego jakiegoś świata.

Mimo sieroctwa, mimo terażniejszego odrzucenia, energia i duma stanowiły wyraz tego oblicza brązowego. Chód miała królowej, wejrzenie nieuległone... Ubrana w czarną suknię aksamitną, bez żadnych ozdób i błyskotek, wyglądała zachwycająco, jak dyament w czarnej emalii oprawie.

— Poszaleją! wszystkim głowy pozawraca—zakrzyknęła Laura— a jakżeś się filozoficznie ubrała... bo filozofią to naszą strój do położenia i wypadku zastosować. Jesteś imponująca! jesteś czarną perelką... prawdziwie...

Laura lubiła ścisnąć, uścisnęła więc gościa, potem poczęła szukać kluczków, chustki zgubionej... zawołała Stefcie... połajala służącego... rozlała wódkę kolońską, wyróciła krzesło, i wyszły do pustego salonu.

Ale razem prawie z ukazaniem się ich poczęli napływać goście, panie, panowie... wchodzili jedni za drugimi, każdy stawał i każdego ta postać nowa lub dawno niewidziana uderzała. Gospodyni polityką było udawać, że



Lenora jest tu jak w domu, i niby na nią nie zważać... Wiele z pań i wielu panów przyszło z Perłą odnowić znajomość wcale grzecznie. Lenora siłała się, aby pozostać i okazać chłodną, niezmieszaną, naturalną, choć serce zrazu było mocno.

Jakie było zdziwienie pana Zygmunta, gdy swą Rebekeę czy Rachełę ujrzał niespodzianie w salonie i aksamicie, on, co ją widział raz pierwszy ze dzbankiem wody w ręku? Jakie było zdumienie pana Romana Junoszy Zarybskiego, gdy ujrzał tu sąsiadkę z drugiego piętra i dawną znajomą?

Na ucho opowiadano sobie jej historią, a choć pozostać na młodzieńcu czyniła wrażenie, ostudziło go to, co usłyszał. Pan Roman nie mógł ani się zbliżyć, ani okazać zajęcia osobie... która herbu nie miała... a co gorzej, na którą padało podejrzenie, iż mogła być żydówką lub cyganką. W tym względzie bowiem różniły się zdania, oparte na charakterystyce fizyognomii, którą inni znawcy typów porównywali do najpiękniejszego ze sfinksów starożytnych.

Piękna Lenora, o której historii wiele osób wiedziało, a nieświadomych pospiesznie z nią na ucho obeznawała gospodyni, robiła ogromne wrażenie... uwielbienia, politowania, współczucia, ciekawości. Artysta nie mógł się natrzeć... ludzie mierzący wartość człowieka jego salonową formą, nie mogli się wydziwić jej dystynkcyi, obejściu się, francuzczyźnie i arystokratycznej rączce i nóżce. Pani Laura płomień tych uwielbień podsycała jak mogła i umiała; a posiadała w tych sprawach niepoślednią zręczność. W miarę zajęcia piękną Lenorą niechęć dla hrabiny i jej rodziny rosła i potężniała. Ci nawet, co możeby z sierotą postąpili tak samo jak ona, oburzali się na nieludzkie obejście i krzywdę...

Wszystko to razem odbiło się w duszy wygnanki i otoczyło ją cieplejszą atmosferą, odżywiło. Choć nie słyszała nic, a oznaki sympatyj były pełne umiarkowania i przyzwoitości, nie mogła nie odgadnąć usposobień ogólnych dla siebie. Jest coś w każdym z nas, co mu oznajmia mimowoli, czy go życzliwość lub niechęć otacza.

Proszono ją grać, usiadła natchniona, a że miała znakomity talent improwizatorski, poprzedziła jedną z pieśni bez słów Mendelssohna przegrywką, w której ukształcenie jej muzykalne powszechne wywołało podziwienie.

Grała potem Chopina, grała Schumana, i wszyscy słuchali przejęci i zdumieni...

— To znakomita artystka! — wołano w tłumie...

— Artystka to nie — szeptała pani Laura z kolei po uszach przyjaciółek i przyjaciół, ale ona jest poetką jak Deotyma, maluje jak Jericho Baumann, deklamuje jak Palińska... i szyje jak najlepsza szwaczka, a pilnuje chorych jak siostra miłosierdzia. Nie dziwię się, że wojewodzina przepadała za nią, bo to istotnie istota fenomenalna.

— Jednakże właściwie — spytał z przyciskiem pan

Roman Junosza Zarybski, który dla dystynkcyi ułożył sobie pince-nez na nos — właściwie kto ona jest?

— Pan nie znasz jej historii?

— Owszem pani, słyszałem koniec, ale dla wszystkich nas jest tajemnicą początek.

— Zdaje mi się — odparła wdychając Laura — że ten i dla niej nawet jest zagadką... Nigdy od wojewodziny nic pewnego się o tem dowiedzieć nie było można, wiadomo tylko, że małym dzieckiem wziętą została na wychowanie.

— Rysy wschodnie! — zdecydował pan Roman.

— Tak! — przerwał Zygmunt Haraburda — ale wschód szeroki i typy obfite a różnorodne... a prawdziwie trudno powiedzieć, do jakiego ona należy.

— A! niech sobie będzie czem chce — przerwała gospodyni — wiem, że to fenomen ze wszech względów.

Zapał dla sieroty był najmocniej podniecony, Lenora stała jeszcze otoczona wielbicielami płci obu przy fortepianie, gdy drzwi otworzyły się szeroko (i nie bez przyczyny), a przez nie wtoczyła się w kanarkowej atlasowej sukni hrabina...

Laura pospieszyła uśmiechnięta z oznakami najżywszej radości naprzeciw niej... tryumfatorsko wsuwała się do salonu wielka pani, za nią syn w ubraniu nieposzlakowanej świeżości; ale o mało nie odrętwieli oboje, gdy wzrokiem zatoczywszy postrzegli Lenorę, która się nawet nie zwróciła ku nim, koło osób wieńcem ją otaczających i postawę sieroty tak dumną, swobodną, wesołą, jak gdyby jeszcze żyła wojewodzina, a ona... spodziewała się być panią Alfredową!

Hrabina Pyza chwilę, mgnienie oka, zdawała się namyślać, spojrzeli na siebie z synem, zarumienili się oboje, ale cofnąć się było to skompromitować się, potępić, okazać grubiaństwo... Wzrokiem nie bazyliuszka ale rozgniewanej gęsi rzuciła hrabina na Laurę, chociaż czuła, że jej nie wymawiać nie mogła, bo przyszła nieproszona, a potem zwolna posunęła się ku kanapie. Hrabina dla rozmiarów swych zwykła była miejsce to zajmować zawsze, które i dumie jej dogadzało, tym razem wszakże nie wiem, przypadkiem czy umyślnie kanapa była zajęta, i wazki fotel niski pozostał dla hrabinej, co ją samo już w najgorszy w świecie humor wprawić mogło. Im bardziej hrabina się zapęrzała, tem Laura stawała natarczywiej grzeczną, nadskakującą... i udawała, że nic nie rozumie.

Alfred nakrochmalony, z zaciętymi ustami całą strategią swą zasadził na tem, ażeby nie widzieć nic i nie słyszeć tego, co niemiłem być mogło. W tejsze prawie chwili jak na złość ktoś z gości (bo Laura dworowała przy Pyzie domęczając ją grzecznościami) poprosił o mazurek Chopina, fortepian się odezwał, i mimowoli oczy na grającą zwrócić musiały.

— Niech sobie hrabina wystawi moje zdziwienie — szepnęła okrutna Laura na ucho — gdy mi dziś na herbatę,



bo to mój dzień, przybyła niespodzianie Lenorka! Tak to miło gospodyni domu mieć gościa, co muzyką i talentem wszystkich zajmuje.

Hrabina chrząknęła patrząc w drugą stronę.

— Ona jest nieoszacowana — kończyła gospościa — i nie dziwię się wojewodzinie, że do niej taką miała słabość. Moje towarzystwo od czasu jak weszła całe nią zajęte... otaczają, pytają... szczęśliwa, bo ma współczucie wszystkich.

Hrabinie zasychało w ustach, roztargniona ledwie ostatnie dosłyszała wyrazy... A tu namówione panie z kolei przychodziły jej ciągle mówić o piękności Lenory, o jej talentach, o ułożeniu... Że tego dnia nie dostała hrabina żółtaczki, winna to wątrobie, która za to jedno do muzeum się kwalifikowała.

Alfred był zimno zły, ale nauczony wytrzymywać przyzwoicie afronty doznane, udawał niedobrze wesołego, uśmiechał się i mówił o czem innym.

Roman, który miał zaszczyt być mu znanym, a dobijał się honoru spoufalenia, zbliżył się niedobrze świadomy okoliczności wszystkich, niezręcznie chwając przed nim Lenorę.

Hrabia ogłuchł zupełnie.

— Proszę hrabiego, my tu zakłady robimy o pochodzenie panny Zara... czybyś hrabia nie mógł rozwiązać zagadki i objaśnić nas?

Alfred piorunująco popatrzył na pytającego i rzekł szydersko:

— Zdaje mi się, że pan Bóg jeden wie słowo tej zagadki.

— Cudnie piękna! — wołano zewsząd.

— Ale jakże gra Chopina!

Rozumie się, że umiejąca gospościa chórem pochwał kierowała tak, by żadna z nich dla uszów hrabiny i jej syna straconą nie była.

Mama i on byliby natychmiast mieli się do odwrotu, przyzwoitość wszakże placu nieprzyjacielowi oddać nie pozwalała. Skinieniem ręki tak tłuściuchnej, że skinienie wydawało się zdala patrzącym groźbą podniesionego kulała, hrabina powołała syna; ten schylił się jej do ucha, a ona szepnęła mu —

— Nous restons aussi longtems que possible...

Alfred zrozumiał to.

W istocie postanowienie było rozpaczliwe, gdyż hrabina miała do wycierpienia tyle, iż nazajutrz prawie myślano o krwi puszczeniu, ale honor wychodzić nie dozwalał. Trzeba było wśród saloniku nie zbyt wielkiego, osób w większej części będących w spisku manewrować tak, ażeby się nie widziało, nie słuchało, nie zważało na świszczące nad uchem wystrzały.

Lice hrabiny mieniło się w najrozmaitsze kameleonskie tony, białe, żółte, różowe, sine, oczy chwilami zdawały krwią nabiegać, ręce z wachlarzem trzęsły konwulsyjnie, ale dobry żołnierz dotrwać musi na stanowisku. Alfred dosyć zręcznie zakrywał matkę i grał obojętnego, ale jedną rękawiczkę podarł i butem na posadzce wyświdrował znak niezgluzowany.

Lenora nie widziała niby hrabiny i jej syna, a przynajmniej jakby ich nie znała wcale, postępowała sobie bez przesady, ze swobodą zupełną. Mówiła, śmiała się, siadała do fortepianu i wstawiała, nie spoglądała na tych państwa... i jedynym może oznakiem nieuniknionego wzruszenia było nieco gorączkowe ożywienie, nieco podniecona żywość.

Oczy wszystkich widzów tej sceny niemej, która niby niedostrzeżoną być miała dla świadków, zwracały się z niewysłowionem zajęciem to na heroinę, to na jej prześladowców stojących pod pręgierzem... Hrabina chciała się śmiać a mało nie płakała, w duchu powtarzała sobie ciągle jak litanią:

— Jeśli jej daruję, niech zginę... to był spisek... ja jej dam! ja jej dam!

Ale jak było dowieść spisku tam, gdzie zaproszenia nie było?

Pani Laura rolę swoją zupełnie niewinnej gospodyni odegrała ze zdolnością nadzwyczajną, zdawała się dziecięcej naiwności i dobroci... Z polityki jej wypadało jak najmniej znowu zbliżać się do Lenory... przemówiła do niej zaledwie... za to około hrabiny kręciła się, pod stos, na którym płonęła, podrzucając główne.

Były na tym wieczorze osoby, którym się on wydał krótki, jak mgnienie oka, i inne, dla których był wiekowo długi... ale nareszcie najgoręcej zajmujący się tém widowiskiem spojrzawszy na zegarki, zrozumieli, że godzina odwrotu się zbliża. Nikt nie chciał wychodzić pierwszy, spektatorowie czekali jakiegoś końca, nie chcieli stracić nic z dramatu... który jutro mógł być opowiadany po stolicy.

Hrabina dosiadywała uparcie, Lenora nie myślała o wyjściu, wdawszy się w bardzo ożywioną rozmowę... panie to brały za chustki, to zwolna je rzucały, w nadziei, że ktoś je wyprzedzi. Niektórzy z mężczyzn oczarowani przez Lenorę zapomnieli o czasie rozmiarach.

W liczbie tych, na których rzuciła mimowolnie urok, był i Roman i Zygmunt... to nic jeszcze, ale co najdziwniej był prawdziwy hrabia, jeden z najmajątniejszych panów, i jeden z najświetniej wychowanych ludzi, hrabia Henryk, pospolicie lordem zwany. Młodość spędzona w Londynie, fizygnomia a l'anglaise, cześć dla instytucyj W. Brytanii... pewna sztywność właściwa dzieciom Albionu... słusznie mu ten przydomek zjednały. (C. d. n.)



## OBRAZY LITEWSKIE.

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW W. POLA.

**B**yło to już po przejściu Świętej rzeki. Wojska polskie wkroczyły na Żmudź; w przedniej straży postępował generał Dembiński, a nasza brygada Ułanów z baterią artylerii konnej ks. Janusza Czetwertyńskiego trzymała zadnią straż korpusu, bo nieprzyjaciel postępował krok w krok prawie za nami, a na każdej trudniejszej przeprawie przez groble i mosty odpierała bateria konnej artylerii natarczywość jego. Trudzącym tedy bardzo był ten pochód, a cóż dopiero, gdy po całodziennym marszu na straszliwych upałach nie można było spocząć, bo działa okopywano na groblach i po za mostkami, brygada musiała stać w szyku bojowym ku nieprzyjacielowi frontem zwrócona w asekuracji baterii, a gdy się zmierzchać poczynało, komenderowano patrole i większe podjazdy, aby nieprzerwanie utrzymywać czucie na linii bojowej i znać w ciągu nocy każdy ruch nieprzyjaciela.

Bardzo tedy trudną była ta służba, bo zaledwo można było popaść konie po całodziennym marszu, a już tych samych ludzi komenderowano na podjazdy większe i małe podśluchy.

Dziesiąty pułk Ułanów, w którym służyłem, tworzył tu jedną brygadę z pierwszym pułkiem Ułanów, a wszystkie podjazdy i patrole komenderowano tak, że każdy pułk dawał połowę ludzi, a komenda była przy oficerze starego pułku.

Taki to tedy podjazd wyruszył od zadniej straży z pięćdziesięciu sześciu koni, czyli dwóch plutonów złożony, w noc ciemną, mając sobie kierunek wskazany i wzięwszy dobrego przewodnika z sobą, który jechał konno przy poruczniku Lubomirskim, oficerze z pierwszego pułku Ułanów prowadzącym podjazd. Cztery razy przyszło nam się tej nocy zetrzeć z Czerkiesami, którzy za każdym razem ustępowali miejsca, bo jak we dnie tak w nocy nie wytrzymali oni nigdy natarcia łańcy ułańskiej i liczyli tylko na celne strzały janczarek. > Przerażliwy był to gwizd tych małych miedzianych kulek, opatrzonych uszkiem i trzema końskimi włosami. Nocą wszakże nie raziły, i podjazd nasz nie stracił tej nocy ani jednego człowieka i nie miał rannego, ale spotykając się na całej linii swego pochodu z Czerkiesami, przemyślał już o powrocie; mała grobelka, na którąśmy naszli jadąc polem, podawała ku temu sposobność, bo prowadziła wprost ku północy, a w tej stronie musieliśmy natrafić na swoich. Jakież wszakże było zdziwienie nasze, gdyśmy przed sobą posłyszeli gwar maszerującego wojska w poprzek grobli i krótkie wykrzykniki moskiewskiej komendy.

— Jesteśmy odcięci— rzekł do mnie z cicha porucznik Lubomirski; tego samego zdania był i przewodnik, który

znał okolicę dobrze. Zeszliśmy tedy z grobli i stanawszy w wielkich krzakach, ustąpiliśmy tej kolumnie z drogi, która przed nami w poprzek grobli ciągnęła. Porucznik kazał w rękę trzymać konie krótko, by który koń nie zarżał i nie zdradził naszego schronienia. Cały pułk piechoty przebył w poprzek groblę. Przewodnik nasz przepełznął na brzuchu przez krzaki i doniósł, że grobla wolna, i byle pospieszyć, przerzniem się przez linię Moskali.

Jakoż znać było między nimi umówione znaki, bo krótki werbel bębna ozwał się w znacznem oddaleniu znać od czoła pułku, który już w poprzek groblę przeszedł i oddział nasz pominął, a na ten werbel odpowiedziała trąbka jazdy, która znać zadnią straż tego oddziału trzymała. Po werblu bębna i oddaleniu trąbki, która odzwała, można się było domyśleć, że grobla jest wolną, i że przejdziemy po niej, byle korzystać z tych kilku minut czasu, które oddzielały zastęp piechoty od jazdy.

Szóstkami tedy stanęliśmy na grobli. Porucznik komenderował: do flanki broń i z miejsca marsz! marsz!! Na grobli zajęczało pod kopytami końskimi kilku marderow moskiewskich, którzy za oddziałem dochodzili; z rowów i z po za rowów padło nawet kilka strzałów, ale podjazd nasz przeszedł cało. Po kilku minutach byliśmy po za linią moskiewską i słyszeliśmy gwar maszerującej kolumny po za sobą, którąśmy przed chwilą jeszcze mieli przed sobą.

Gdy pierwszy most zadudnił pod nami, ostrzegł przewodnik, że już całe niebezpieczeństwo minęło, ale radził porucznikowi, aby most zerwać za sobą; zsiadliśmy tedy do woli z konia i zrzuciliśmy pokład z mostu do rzeki, który z wodą popłynął, a znając się już teraz bezpiecznymi daliśmy obrok koniom, które już prawie ustawały, bo od ostatniego obroku upłynęło już więcej pół doby, i konie i ludzie kładli się na grobli; przewodnik nasz przeszedł po belce zerwanego mostu trzymając się poręczy w części już także zerwanej, i doniósł, że jazda przeszła, ale że słyhać w oddaleniu kruczenie Czerkiesów, i że nie jest bezpiecznie obozować blisko linii zajętej przez Moskali, bo się dzień robi. Nie łatwo było ocucić koni i ludzi, których wielka ogarnęła senność. Porucznik kazał tedy w rękę prowadzić konie, aby się komenda senności odjęła, i tak postępowaliśmy wolno utykając na każdym kroku, bo grobla była niegodziwa, z faszyn i okrągłaków ułożona.

Jutrzeńka zbladła i posłyszeliśmy pianie kur; brzask obleciał świat, i na koń komenderował znowu porucznik. Gdy się biały dzień zrobił, stanęliśmy w małej leśnej za-



grodzie; był to szlachecki zaścianek, i wśród chat włościan sterczało kilka okazalszych dworców. Przed wioską była gospoda, tu tedy zatrzymał się nasz podjazd; u płotów postawiono konie, a my weszliśmy do karczmy, gdzie gospodyni właśnie wyjmowała z pieca chleby świeżego pieczywa. Przewodnik nasz obiegł cały zaścianek, i w mgnieniu oka był owies dla koni a prowiant dla ludzi; przewodnik wykomenderował z włościan i szlachty straż na groblę, która pokładła jeszcze dwóch mostów zrzuciła. Jedyna droga, która do owej wsi prowadziła, była ta grobla, po prawej i po lewej stronie grobli ciągnęły się

radością, najserdeczniejsza gościnność obok wylania uczuć patriotycznych. Wiarusy ogarnawszy się trocha, bo rzeka płynęła przez wioskę, a każdy miał w torbie szczotkę, gromadzili się przed kwaterą porucznika, którego do najokazalszego zaproszono dworku; ale że się wolno ścigali zasypując nanowo koniom obrok, i robiąc porządki około koni i siebie, dochodziła może 11. godzina, a cały zaścianek zebrał się w obszernym dziedzińcu przed kwaterą porucznika, oczekując na chwilę uraczenia swych gości i prosząc o to, aby też do każdej chaty ktoś z panów koroniarzy wejść raczył i przyjął gościnę.



...i odmówił nad nim modlitwę za konających...

(str. 138).

(Rys. J. Kossak)

błota i gęste lasy. Za zrzuconymi mostami znaleźliśmy się tedy bezpieczni, a że konie i ludzie potrzebowali wypoczynku, kazano rozkubaczyć konie, a wiarusy chrapały, gdzie który padł przy koniu.

Było może około 10. przed południem, gdy przypiekające słońce rozbudziło podjazd. Pozór też całego zaścianka był zupełnie odmienny, i szlachta i włościanie po świątecznemu ubraniu zapraszali nas do domów, gdzie już i śniadanie i obiad był przygotowany, wszystkie sienie i podwórza posypane piaskiem i potrząsione siekaną jedlinką, wszystkie stoły nakryte, wszystkie twarze promieniejące

Na tem oczekiwaniu upłynęła może godzina; w tym powstał jakiś ruch niezwykły w całej osadzie zaścianka; zrazu myśleliśmy, że to jakaś wiadomość o Moskalach od grobli i zrzuconych mostów, nie tak wszakże było.

Była to niedziela, a że zaścianek nie miał własnego kościółka, przybył z ewangeliczką chłopaczek, tą samą drogą, którąśmy nocą przebyli zrywając mosty, przeszedł po belkach zerwanych mostów, by odczytać ewangelią tym, co dziś w kościele nie będą.

Z zadziwieniem spojrzeliśmy na tego chłopczyka, który miał może lat 13, był czysto, ubogo lecz po swia-



tecznemu ubrany, i z ewangeliczką w ręku przeszedł spokojnie zbrojne obozy, by ponieść słowo boże bliźniemu.

Wiedziałem o instytucji lektorów w kościele, ale to, żeby dziecię głosiło słowo boże w niewinności serca, i żeby lektorami były niedorośle pachołeta, o tem nie słyszałem nigdy, i dziwnie wzruszył mnie widok tego chłopczyka, który nawet wśród wrzawy wojennej nie ustawał w służbie swojej, ale od wsi do wsi idąc, odczytywał ludziom ewangelię. Mieszkańcy całego zaścianka obstąpili go do koła, a on pozdrowiwszy wszystkich, pokłonił się wszystkim z pokorą, zdjął z siebie torbę, w której znać cały swój dobytek nosił, złożył ją obok laski i kapelusza, wyjął z niej fiaszeczkę z wodą święconą, dobył czarę i kropidelko i obszedł wszystkich do koła, podając wodę święconą. Poważna cisza zawładnęła całym zgromadzeniem. Chłopaczek wstąpił na wysoką kłodę, która w dziedzińcu leżała, a głosem donośnym i powolnym odczytał na idącą niedzielę ewangelię, epistołę i naukę, jaką kościół daje; następnie odmówił z całym zgromadzeniem pospołu litanią do Najśw. Panny i odspiewał suplikacye, Św. Boże etc.

Na tem skończyło się nabożeństwo lektora; starsze niewiasty głaskały chłopczynę, kiedy zeszedł z kłody, i wypytywały się z obawą, jak się przez moskiewski obóz przebrał? Zdziwiony mówił, że tylko trzech Moskali zabitych widział na grobli, czwarty konał, gdy nadszedł do niego; podał mu tedy wody święconej i odmówił nad nim modlitwę za konających, jakoż nie odszedł od niego, póki nie skonał, i prosił ludzi, aby tych zabitych zebrać z grobli i pochować.

Dziwne wrażenie zrobił widok tego dziecka na nas wszystkich i na naszych wiarusach; zdało się, że aniołek pokoju zstąpił na ziemię, bo chłopczyną nawet nie pojmował tego, co się w koło niego działo, bezpieczny w Bogu, z święconą wodą i ewangeliczką w ręku przeszedł obozy i przybył, by posilić słowem bożem ludzi pokoju i pracy w dniu niedzielnym.

Gdzie wiara i obyczaje takie puściły korzenie i takie wydały owoce, że Bóg już usta niewinnego dziecka obiera za narzędzie swoje, tam może wydać kościół męczenników, ale nie wyda odstępców, i wszelkie prześladowania religijne rozbijają się tam o bożą mękę i o boże prawdy.

Kiedy już chłopczynę wzięły niewiasty między siebie, niosąc mu torbę, kapelusz słomiany i laskę, i prowadząc go na gościnę, przystąpił starszy wachmistrz do porucznika Lubomirskiego i prosił, aby kazał stanąć do apelu.

— A na co?—zapytał porucznik—wszakże pono proszono już nas do obiadu.

— Proszę pana porucznika—rzekł wachmistrz,—jużciz i my pono nie gorsi, i nam zdałoby się wysłuchać ewangelię; jakoś tu się pięknie modlą ludzie, to niechże wiedzą, że i Ułani katoliki, a zaprosimy tego chłopacka, żeby przed plutonami odczytał ewangelię.

Przed dworkiem tedy stanęły szeregi; chłopaczka zaproszono w ganek, i osobliwy był to widok: porucznik komenderował do dobytca pałazy, chłopaczek podał mu wodę święconą, potem obszedł z nią szeregi, które się rozstąpiły, aby miał wolne przejście, i każdy żołnierz przekładał broń w lewą rękę, aby sięgnąć do kropidla i wody święconej i położyć na sobie znak krzyża; biedny chłopczyna pobladł zrazu, drzał głos jego, kiedy stanąwszy na kilku stopniach w ganku począł czytać, ale następnie ośmielił się i odczytał głośno i poważnie dla żołnierzy ewangelię.

Nikt nie czuje dotykanej ręki opatrności boskiej nad żołnierza w boju, który co chwila śmierci w oczy patrzeć musi. Łzy płynęły po wąsach wiarusów, którym nie wolno było otrzeć tych łez, bo stali w szeregu, a kiedy odstąpili z szeregu, byli wszyscy bardzo zbudowani nabożeństwem tego dziecka. Stary wachmistrz wziął chłopaczka na ręce, zaniósł go do swego konia i posadził go w siodle, następnie zrobili składkę Ułani i złożyli chłopcu kilkadziesiąt złotych, dając mu z nich połowę i żądając po nim, aby za drugą połowę mszę uprosił w najbliższym kościele na intencję ojczyzny i waleczącej wiary. Scena ta połączyła silniej nowymi węzłami mieszkańców zaścianka z przybyłymi gośćmi. A przed stołem odmówił modlitwę chłopaczek, „który pod ewangelijką chodził“ (tak bowiem nazywają na Litwie tych małych lektorów).

Dobrze już było z południa, gdyśmy w dalszy wyruszyli marsz; przez wielkie odkryte rojsty, które ciemne okrażały bory, dostaliśmy się na suchszy poziom, i powróciliśmy jeszcze przed wieczorem do obozu, gdzie nasza stała brygada.

Tu był kościółek i proboszcz. Zostając jeszcze pod wpływem owego chłopczyka, który pod ewangeliczką chodząc nosił słowo boże po świecie, rozgadałem się z księdzem proboszczem i dowiedziałem się o nieznanym mi dotąd praktykach religijnych.

„Któż ma być sierocie opieką, jak nie Bóg i kościół—mówił nam ks. proboszcz—nie ma tedy prawie wikaryi i plebanii, gdzieby się nie chowała sierota, a w klasztorach miewają starzy zakonnicy chłopaków do posługi; przy księdzu i kościele nauczy się chłopak powoli czytać i pisać, służyć do mszy i przemawiać do ludzi obyczajnie, a jak nachodzi na rękę, to też uczy się go czegoś więcej, i wyprawia się z ewangeliczką do wsi i zaścianków, w których kościoła nie ma. Czuwamy nad tem, aby się taki chłopiec nie popsuł i nie nabrał chciwości, i znamy już tych chłopczyków, którym można pozwalać odczytanie ewangelii dla ludu. Cztery do pięciu lat chodzi taki chłopczyna po świecie, ale trzyma się zawsze tylko dwóch lub trzech parafii; niewiasty dają mu po garści lnu, gospodarze po miareczce żyta, krup lub grochu; wszędzie znajdzie się jakaś miłosierna gospodyni, co go przytuli



i ogarnie; tamta mu wyprzedzie len, a ta uszyje lub wypierze koszulę, tam mu darują skórę z barana, albo kupią bóty na odpuszcie, a zboże lub prowiant w ziarnie odsyłają mu do orgatnisty miejscowego. To też łatwiej mu się wyżywić, i nie jest nikomu ciężarem, bo z ewangeliczką chodząc, zarobi już sam na siebie i uzbiera sobie nawet jakiś grosz przez lat parę, że może już potem pójść do szkoły lub pod opiekę ks. biskupa naszego w Worniach. Wielu księży dzisiejszych chodziło niegdyś z ewangeliczką, a jak Bóg da statek i łaskę swoją, wychodzą takie sieroty na ludzi. Uczymy ich spiewać pieśni, i w czasie adwentu spiewają z ludźmi pospołu pieśni adwentowe; potem obnoszą opłatki i spiewają kolendy, w czasie wielkiego postu gorzkie żale; a tak to szerzy się między ludem wiernym i chwała boska i język polski, bo plebani i organiści kierują tymi chłopczkami i mają oko na ich zachowanie

się i postęпки, a lud prosty widzi przecie, że lepiej można pana Boga chwalić umiając czytać i pisać, i bierze żąd zachętę dla siebie. Mało mamy szkółek miejskich, a przecież w każdym kościółku modli się część ludzi na książeczkach od pacierzy, bo wypada na nasze ubóstwo radzić jak można.“

Jeżeli mnie do głębi wzruszyła owa scena w zaścianku, zbudowały nas bardzo te słowa prostego plebana, bo dały nam wejrzeć w pocziwe gospodarstwo duchownych przewodników ludu.

Stary nasz wachmistrz wspominał jeszcze nie raz w ciągu kampanii o owym chłopczku z ewangeliczką i powiadał: Na mój rozum, toby przy każdym swadronie takiego chłopacka z ewangeliczką chować potseba; a cóż? ubrać to poządnie w mundurek, i niechby na małym koniku z ewangeliczką jeździł przy trębacu.

## U W Y Ł O M U.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

NAPISAŁ JEOPOLD HR. STARZEŃSKI.

(C I A G D A L S Z Y).

### SCENA X.

MARSZAŁEK. FABIAN.

FABIAN (wchodzi, do siebie)  
Modli się! — ha!... ha!... ledwie oczom wierzę.

MARSZAŁEK  
(wstaje, i niepatrzając na niego)  
Czego chcesz?

FABIAN (z głębokim ukłonem)  
Sługa. — Ale mi się zdaje  
Że przeszkodziłem.

MARSZAŁEK.  
Mówiłem pacierze.

FABIAN.  
Djabęł na starość i mnichem się staje.

MARSZAŁEK.  
Nikczemnik!

FABIAN.  
Mnichem — mnichem, Jaśnie Panie!

MARSZAŁEK.  
Jeżeli pragniesz odemnie usługi,  
Mów! — wiele żadasz?

FABIAN.  
To dziwne pytanie!

Jaśnie Pan swego nie poznaje sługi.

MARSZAŁEK.  
Tyś Szymon Turczak.

FABIAN.  
Kiedy byłem w nędzy,  
Miałem to imię.

MARSZAŁEK.  
I cóż?... dziwny śmiałku!

FABIAN.  
Czym kiedy żądał od ciebie pieniędzy?

MARSZAŁEK.  
A więc?

FABIAN.  
Ja wolę mieć „ciebie“ Marszałku!

MARSZAŁEK.  
Ty śmiesz?!...

FABIAN (siadając)  
Lecz pozwól, że sobie usiędę,  
Bo ceremonii pocóż między nami?

MARSZAŁEK (na stronie)  
Upokorzenia długoż znosić będę?

FABIAN  
(bierze cygare ze stołu i zapala je)

O! ja żyć umiem z wielkimi panami.

Tak — Szymon Turczak niegdyś zwany byłem,  
Ale to temu lat trzydzieści blisko;

Jak ty twą postać, ja moję zmieniłem,

Dziś Fabian Borski jest moje nazwisko.

Zawszem przed okiem miał twój wzór nadobny,

Ty się znasz zresztą z moją biografią,



Jakby dwie krople do ciebie podobny;  
Przyznaj — zem wierną twoją fotografią.

MARSZAŁEK.

Tyś jest katorżnik!

FABIAN.

A tak — w tem różnica!

Mą winę zdjęła już odbyta kara,

Gdy zaś... (śmieje się, utkwivszy wzrok w Marszałka)  
Jak dziwnie zbladły pańskie lica!...

MARSZAŁEK (zapamiętałe)

Nędzny!... zuchwalcze!...

(podnosi rękę i idzie ku niemu)

FABIAN (rzuca cygareto na ziemię)

Pan masz złe cygara!

MARSZAŁEK.

Nie zniosę dłużej!... (chce go uderzyć).

FABIAN

(wpatrując się w niego ze spokojem)

Pan coś rozogniony!

(Pod wpływem wzroku Fabiana — Marszałek się cofa)

MARSZAŁEK

(wskazując machinalnie ręką cygareto rzucone przez Fabiana na dywan)

Bruczesz mi dywan!

FABIAN.

Cóż z tą — Jaśnie Panie?

Czyż tylko dywan u ciebie zbrudzony?

Zresztą — nie zwykłem chodzić po dywanie.

MARSZAŁEK.

Zkąd się tu wzięłeś?

FABIAN.

Zdziwić się potrzeba,

Gdy ten się zjawi kogo kaźnia grzebie.

Wierz mi, że nawet twój Stróż-aniół z nieba,

Jak ja, Marszałku, tak nie strzeże ciebie.

Wszakże nie spadam tutaj nakształt gromu,

Niespodziewanki czynić ci nie chciałem,

I bez meldunku wejść do twego domu;

Listem wizytę mą zapowiedziałem.

MARSZAŁEK.

Prawda!

FABIAN.

Znów jestem. — Dziwnie losy biega!

Nieprawdaż, panie, to podziwu warte?

Lecz na to trzeba, ażebyś, kolego,

Mej biografii nową poznał kartę.

Zacznę z początku: Przed trzydziestu laty

Włości te dzierzył pan możny i prawy,

Polski pułkownik — szlachetny, bogaty,

Wziętości wielkiej i rozgłośnej sławy.

Żona umarła dając jemu syna —

Smutkiem i żalem był strasznie zgnieciony;

Kiedy wybiła powstania godzina,

Pułkownik stanął do kraju obrony.

Fortuny zarząd i pieczę nad dzieckiem  
Zbyt łatwowierny powierzył tymczasem  
Rządcy, co podszedł go słowem zdradzieckim,  
Zresztą człek sprytny — był pół-mecenasem.  
Tak to pan rządca w dobrach gospodarzył,  
Sprawy z swych czynów nie zdając przed nikim;  
Wiernego sługę los mu też nadarzył  
W pisarzu, co był niegdyś czynownikiem. —  
Legł pan pułkownik od moskiewskiej kuli,  
Śmierć „niby“ także zabrała dziecinę,  
Rządca z pisarzem nić dalej wysnuli,  
I „niby“ poszła fortuna w ruinę.

MARSZAŁEK (z nerwowem drzeniem)

Te dobra były znacznie obciążone,

Na licytacji je kupilem jawnie.

FABIAN.

Wiem — w każdy sposób tu mienie kupione

U buntowczyka — jest nabyte prawnie.

(po chwili)

Pan rządca został panem tyłu włości,  
I obywatel stał się możny z niego,  
Potrafił nawet, w swojej przybiegłości,  
Nieźle grać rolę człeka pocziwego.  
Bo nudno łotrem być wciąż bez potrzeby,  
Lepiej poważną przyjąć na się postać,  
Zwłaszcza że jeden to sposób, ażeby  
Pośród sąsiadów swych Marszałkiem zostać.  
A władzy ręka pomoc na to dała,  
Bo któż jej lepiej mógłby się przysłużyć?  
Wszak to dla rządu przysługa nie mała,  
Buntowczykowi tak gniazdeczko zburzyć.

MARSZAŁEK (z dumą)

Mam wstęgę — ona za mnie odpowiada,  
Że w kraju moje usługi uznano.

FABIAN.

Co to za szczęście, że ten rząd dziś włada,  
Inaczej miałbyś wstęgę konopianą.

MARSZAŁEK.

Dosyć!

FABIAN.

Poczekaj! — Rzecz nierozstrzygnięta!

Dalecy krewni pana pułkownika

Zaczęli proces, mając dokumenta,

Które zdradzały rządce i współnika.

Ale — pan rządca — mecenas rozumny —

A Szymon Turczak prostoduszny, głupi —

Choć łotr jak tamten — lecz pisarz nieumny —

Nie wiedział o tem, że się na nim skrupi.

Za swego pana poniósł wyrok srogi,

Został pognany w aresztanckie rotę,

Z kulą żelazną u tej lewej nogi

Na zawsze poszedł — w katorżne roboty.

Nędznik — co skradnie złotych kilkanaście,

Pójdzie w kajdany — jest bity — sądzony —



Lecz nie dościgną podobne napaście  
Tego, co ukraść potrafił miliony.  
Zabij człowieka jednego — nie więcej —  
Stryczek cię zdusi — knut ciebie oćwicz —  
Lecz jeżeli zgubisz i wiele tysięcy,  
Świat bohaterem jeszcze cię okrzyczy.  
Tylko za małe winy — wielkie kary —  
Wszak to jest prawem dawno u nas znanem:  
Jam był twój uczeń — a ty — mistrz mój stary,  
Więc jam katorżnik — tyś jest wielkim panem.

(z wzrastającym zapalem)

Ilem wiorst uszedł pieszko za tve grzechy,  
Tyleś nie zaznał sumienia wyrzutów;  
Nie miałeś w życiu tyle chwil uciechy,  
Ile na plecy te upadło knutów.

(po chwili, z dawnym spokojem)

Tak — panu rządcy powiodły się plany;  
Akta procesu wkrótce odrzucono,  
Wspólnik na zawsze już poszedł w kajdany,  
A dokumenta ze sądu skradziono.

MARSZAŁEK.

I jakżeś umknął?

FABIAN.

Przez krok trochę śliski,

Lecz takie kroki najpewniej prowadzą;  
Koledzy więźnie knuli jakieś spiski,  
A jam podsłuchał...

MARSZAŁEK.

I wydał przed władzą?

FABIAN.

To oczywiste. — I zatom dziś wolny,  
I używany do różnych poruczeń,  
Do jakich człowiek jak ja lub ty zdolny —

MARSZAŁEK.

Jesteś denuncyant...

FABIAN.

Jam twej szkoły uczeń.

MARSZAŁEK.

I czemu jesteś?

FABIAN.

Jestem... człowiek czynu.

Bo wiesz zapewne, co się tu gotuje?  
Mam popularność, jestem bóstwem gminu,  
Jam człek tej chwili — więc tłum haranguję...

MARSZAŁEK.

Tyś emisaryusz?

FABIAN.

Nas tak nazywają —

Lecz ja z innymi w tej sprzeczności stoję,  
Że tamci zwykle ofiarą padają,  
A ja się naszej politycy nie boję.

MARSZAŁEK.

Boś szpieg!

FABIAN.

Bom człowiek przydatny do larwy.

Wielu jest ludzi ducha stronniczego:  
Biali — czerwoni, słowem, wszelkiej barwy —  
A ja czerwiejszy od najczerwiejszego;  
Więc wierzą we mnie. — Stałej pracy ziarno,  
Które zasiano — władzę niepokoi;  
Lecz wszelki zachód będzie rzeczą marną,  
W przedwczesny wybuch gdy się rzecz nastroi.  
Bo z ziarna mógłby owoc się wylęgnać,  
Jeśliby środków wprzód nieobmyślano,  
Więc namiętności i szal trza rozprzęgnać...

(po chwili)

Tobie zaufać musiałem z pewnością,  
Gdy tajemnicę taką ci wyznaję,  
Która dla wszystkich ma zostać skrytością —  
Przed tobą jednym bez maski tu stoję.  
O solidarność dziś świat tak się trudzi;  
Może ją znaleźć zaraz między nami —  
Nie łatwo o nią wśród poczciwych ludzi,  
Lecz nie jest rzadką pomiędzy łotrami.

MARSZAŁEK.

I tobie wierzą?

FABIAN.

Jakby w apostoła —

Bom ciągle chwili bieżącej szermierzem —

MARSZAŁEK.

Nikt ci nie dostrzegł miedzianego czoła?

FABIAN.

Czyż trzoda pyta, kto jest jej pasterzem?  
Muszę być sprytnym, gdym zyskał te wpływy;  
Słynę wśród gminy z poświęcenia, cnoty,  
Jak ty — gram rolę: nibyś człek uczciwy —  
A ja — odgrywam rolę — patryoty. —  
Tak — Edward Skalski — wpływowy młodzieniec,  
Już wpadł przezemnie w to zdradne zarzewie —  
Wierzy mi święci ten ślepy szaleniec,  
On mój siostrzenic — ale o tem nie wie.

MARSZAŁEK.

Winszuję jemu tego pokrewieństwa...

FABIAN.

Syn mojej siostry. — A na naszej drodze  
Korzystny znajdziem plon z jego szaleństwa —  
W jego to sprawie do ciebie przychodzę.

MARSZAŁEK.

Jak to?

FABIAN.

Obeznać cie chcę z przedsięwzięciem —  
Z żądaniem człeka — co cie się nie boi;  
Otóż — mój Edward zostanie twym zięciem.

MARSZAŁEK.

Co?

FABIAN.

Bo mu oddasz rękę córki twojej.



MARSZAŁEK.

Czyś ty oszalał?

FABIAN.

Wiem co cię wstrzymuje,  
Twoje skrupuły dobrze w głowie mieszczą;  
Ta okoliczność tobie spokój truje,  
Że pułkownika dziecko żyje jeszcze.  
Sumienie gryzie — bo ty zbrodniarz stary,  
Ksiądz przy spowiedzi słowem ciebie trwoży,  
Jeszcześ w katorżni nie odebrał kary,  
Więc wiesz, że czeka cię jakiś sąd boży.

MARSZAŁEK.

Słuchaj! — Wyznaję: niecne moje czyny,  
I jam wart kary za wszystko com sprawił;  
Lecz szczerza skrucha maże wszelkie winy,  
Co w mojej mocy, tom dotąd naprawił.  
Ja Alexemu zawsze ojcem byłem,  
Wychowywałem jego od młodości,  
I jemu rękę córki przeznaczyłem,  
On będzie znowu panem swoich włości.

FABIAN.

Ale dokument istnieje nie nowy —  
Ten — gdyby władzom został przedłożonym —  
Pewien występca poszedłby w okowy  
I...

MARSZAŁEK (z trwogą)

Ten dokument mi został...

FABIAN (kończąc)

Skradzionym.

MARSZAŁEK (z drzeniem)

Wiesz?!...

FABIAN (wstaje)

Ja wiem wszystko. —  
(dobywa plik papierów z kieszeni)

Tu są dokumenta.

MARSZAŁEK (w osłupieniu)

To... ty je skradłeś?!...

FABIAN.

Wszak zawsze tak robię,  
Jam pański uczeń — niech to pan pamięta —  
Skradłeś je sądom — a jam skradł je tobie. —

MARSZAŁEK (na stronie)

Przeklęty!

FABIAN.

I cóż? — Czy Edward otrzyma  
Rękę twej córki — na moje wstawienie?

MARSZAŁEK (na stronie)

Jestem zgubiony! — Nie, już drogi nie ma!  
(głośno — z rozpaczą)

Oddaj to pismo!... po jakiej chcesz cenie!  
(cofa się do biórka)

FABIAN.

Pocóż nam targów, gdy się słowo rzekło?  
Porzuć, Marszałku, te przesady gminne!

MARSZAŁEK.

Oddaj to pismo! lub cię wtrąć w piekło?  
(porywa rewolwer z biórka)

FABIAN.

(szybkim ruchem wrywa mu rewolwer z ręki — i po chwili  
mówi z dawnym spokojem)  
Chęci masz dawne — lecz ramię już inne.  
(chowa rewolwer do kieszeni)

MARSZAŁEK. (pada na fotel)

Zginałem!

FABIAN.

Sklonisz się do prośby mojej?

MARSZAŁEK.

O!... te papiery!...

FABIAN.

Nadto byłeś czuły,  
Aby je zniszczyć. — Wierz mi: nieprzystoi  
W twem położeniu mieć takie skrupuły.

MARSZAŁEK.

Jam nie śmiał... gniotły mnie wyrzutów krocie.

FABIAN.

Ty — ex-mecenas tak działasz z płochością!  
Gdybyś okienka nie otwierał cnocie,  
Dziś w moich rękach nie byłbyś z pewnością.

MARSZAŁEK.

Powiedz! dlaczego żądasz tego związku?

FABIAN.

On mój siostrzeniec — i krewny jedyny —  
Potem — myśl inną mam jeszcze w związku —  
Słowem — przeróżne mam jeszcze przyczyny.  
Ten plan potrzebny jest do moich celów:  
Ja — teraz nowej karyery probuję;  
Wszak Robespierów, Maratów, Chromwellów,  
Z takich się ludzi jak my rekrutuje.  
Wielki majątek potrzebny do tego,  
I wpływ człowieka przy nim łatwo wzrasta;  
Z was mam sprężynę odtąd planu mego:  
Tyś — łotr w mej mocy; — Edward — entuzyasta.  
Zresztą chodziłem zawsze twoim śladem,  
Więc już mnie nudzi dla drugich pracować;  
Chcę też pomyśleć, za twoim przykładem,  
Bym miał na starość o czem pokutować.

MARSZAŁEK.

Mów!... co mam czynić?

FABIAN.

Masz list do Edwarda  
Napisać — gdyż on prosił o jej rękę.

MARSZAŁEK. (stanowczo)

Gdy raz odmówił...

FABIAN.

W tobie dusza harda!  
Lecz on ci za to przyniesie podziękę,  
Bo on ją kocha.



MARSZAŁEK.

Nie... ja dałem słowo

Już Alexemu...

FABIAN.

Ha!... ha!... to mnie bawi!

MARSZAŁEK (porywczo)

To nadaremne! — Przestań już z tą mową!

FABIAN (spokojnie)

Więc się dokument jutro w sądzie zjawi.

(chce odejść)

MARSZAŁEK (wstrzymuje go)

Nie.. czekaj! — czekaj!...

FABIAN (z szyderczym uśmiechem)

Jaśnie pan zezwala?

Tem lepiej — to nam oszczędzi przykrości. —

MARSZAŁEK.

Całe się brzemię na raz na mnie zwala!

FABIAN.

Więc napisz ten list!

(na stronie)

Tamten skona z złości!

(Marszałek po pewnym wahaniu bierze pióro i zaczyna pisać — Fabian patrzy w jego pismo i mówi:)

Tak — dobrze! — dobrze!... Edward się ucieszy. —

(na stronie)

Teraz z Alexym trzeba mi się sprawić.

Za listem jego straż zaraz pospieszy —

To dowód zbrodni — tak — trza go przystawić.

Edward z Alexym ma się zejść w futorze —

Tam się nareszcie rozjaśni ta sprawa.

Przez drzwi słyszałem — że swój list w tej porze

Kozakiem wysłał... więc próżna obawa!

Pogoń wnet poszłę...

MARSZAŁEK (skończywszy list)

Oto list żądany!

Niechaj się ręce twoje na mnie zbroją!

Z tobą w przymierzu są piekiel szatany,

Zabiłeś duszę!...

FABIAN (z goryczą)

Tyś wprzód zabił moją. —

MARSZAŁEK.

Oddaj więc papier!

FABIAN.

On przy mnie zostanie.

MARSZAŁEK.

Tak nadużywać chcesz twojej przemocy?

Wszak list ci daję.

FABIAN.

Wolę — Jaśnie Panie!

Mieć ciebie w rękę — niż być w twojej mocy.

(dzwoni)

## SCENA XI.

CIŻ. LOKAJ.

LOKAJ (wchodzi)

Jaśnie Pan dzwonił?

MARSZAŁEK (pomieszany)

Ja?... nie... i kto mówi?...

FABIAN (przybiera postać pokorną)

Jaśnie Pan liścik ponoś miał wyprawić.

MARSZAŁEK.

Tak... list... ten... posłać... panu Edwardowi.

LOKAJ (biorąc list)

I gdzież posłaniec ma ten list zostawić?

FABIAN.

Ja śmiem pokornie tę uwagę zrobić,

Że dosyć czasu i za dwie godziny.

MARSZAŁEK.

Dobrze... idź!... wyszlej!.. (ciecho do Fabiana)

Możesz mnie już dobić!

LOKAJ.

Lecz gdzież go oddać?

FABIAN.

W futorze Horpyny.

(Lokaj odchodzi)

## SCENA XII.

MARSZAŁEK. FABIAN.

FABIAN.

Ja teraz idę do dzieła dalszego —

Wszystko wyjaśni czas już niedaleki —

Ale pamiętaj — mój zacny kolego!

Że nie wypuszczam ciebie z mej opieki.

(odchodzi)

## SCENA XIII.

MARSZAŁEK. POŹNIEJ WANDA I TERESA.

MARSZAŁEK (sam)

Stało się! — zbrodni spadła kara sroga.

Niebo odpycha!... to tryumf szatana...

W mózgu się miesza... Ratujcie!... dla Boga!...

(zatacza się ku drzwiom po lewej)

WANDA (wbiega z Teresą)

Cóż ci — mój Ojczy!

MARSZAŁEK.

Tyś?... córko kochana!...

WANDA.

Co to się znaczy?

MARSZAŁEK.

Tu... tu.. biją gromy!

Coś przed oczyma strasznie pociemniało...



WANDA.  
I jakiż powód?... Któż ten nieznajomy?  
MARSZAŁEK.  
Córko! — nie pytaj!  
TERESA.  
Co się tutaj stało?  
MARSZAŁEK.  
To on mnie zabił — ten szatan — zabójca! —  
Twe biedne serce niech się teraz dowie,  
Że jeżeli nie chcesz hańby twego ojca —  
To musisz rękę oddać... Edwardowi.  
WANDA (zdziwiona)  
Co? Edwardowi?  
MARSZAŁEK.  
Tak... trzeba koniecznie...  
WANDA (z radością)  
O! co za szczęście!  
MARSZAŁEK.  
Kara mnie dosięgła.

WANDA.  
Bo ja go kocham! — Będę jego wiecznie!  
MARSZAŁEK (prerażony)  
Ty?!... toś się także przeciw mnie sprzysięgła?...  
Ty?!... ty go kochasz?!...  
TERESA (cicho do Wandy)  
On z gorączki prawi.  
WANDA (na stronie ze smutkiem)  
O! tak on chory!... (głośno) Ojczy! — nie dręcz siebie!  
Ja go nie kocham. —  
MARSZAŁEK.  
Serce mi się krwawi!  
O! córko moja, zaprzedałem ciebie! —  
(pada na fotel i zakrywa sobie oczy)  
(Zasłona spada)  
Koniec aktu pierwszego.  
(Dalszy ciąg nastąpi).

## RZUT OKA

NA STOSUNKI KSIĘCIA ADAMA CZARTORYSKIEGO I MICHAŁA OGIŃSKIEGO Z CAREM ALEKSANDREM I.  
I ICH ZABIEGI W CELU ODBUDOWANIA POLSKI.

*Skreślił Henryk Schmitt.*

(DOKOŃCZENIE.)

### VII.

**P**o rozpoczęciu wojny ozwał się Czartoryski, którego ojciec stanął na czele konfederacji warszawskiej, z żądaniem do cara, aby go uwolnił od wszelkich obowiązków urzędowych. Na żądanie to nie było odpowiedzi, a gdy resztki wielkiej armii francuskiej opuściły w swym odwrocie Księstwo, a za to wkroczyła Moskwa, zawiązał znów książę stosunki listowe z Aleksandrem, aby mu przypomnieć dawne obietnice i prosić o ich ziszczenie, a przytem odwozić go od mściwych zamiarów. Upewniał go oraz, że byle mu przez podanie dogodnych krajowi warunków ugody umożliwił rokowanie z rządem i konfederacją, nikt pewnie nie potrafi lepiej wpłynąć na umysły, aby je skłonić do wejścia w układy. Car odpisał, że mściwość jest uczuciem zupełnie mu nieznanem, lecz dodał przytém, że z powodu zachowania się Polaków w ostatniej wojnie położenie stało się nader trudnem, i że potrzeba długiego czasu i dowodów w kierunku przeciwnym, by o przyjaźnem usposobieniu Polaków przekonać Moskali. Co zaś do projektu secundo-genitury polskiej dla w. księcia Michała, podanego przez księcia, uznał go wprost niepraktycznym,

a zalecając ufnosć i cierpliwość, był za tem, aby rząd i konfederacja pozostały w stolicy i aby z nim zawarły przymierze, co mu poda możność przemawiania w imieniu Polski.

I rzeczywiście było położenie nader trudnem, gdy upojeni tak niespodzianem zwycięstwem Moskale przybrali wraz z carem minę i miano oswobodzicieli Europy z pod jarzma Napoleona! Skoro część Litwy była opuszczona przez wojska francuzkie, zaczęli zaraz czynownicy carscy więzić i wywozić do Petersburga i do twierdz moskiewskich mnóstwo ludzi, którzy przystąpili do konfederacji warszawskiej, lub jakikolwiek przyjęli urząd, lub w końcu byli podejrzani z powodu swych uczuć patriotycznych. Ogiński i wszyscy inni apostołowie mesyanizmu carskiego ujrzeni z przerażeniem, że naród widząc ziszczone w taki sposób obietnice carskie, gotów ich poczytać za zdrajców, wnieśli prozbę najpokorniejszą do samego cara o amnestyą powszechną, co téż uzyskali. Lecz amnestya była tylko na papierze i dla Europy, a na Litwie trwały dalej prześladowania na wielkie rozmiary, chociaż do ostatniej chwili car przyjmował od Ogińskiego projekta, dotyczące odbudowania Polski. Gdy zaś ucisk wzmógł się w zaborze,



a szczególnie po ustąpieniu wojsk francuzkich z dierzaw polskich, upraszał Ogiński cara w imieniu Litwy, aby mu dozwolił bawić stale przy swym boku i być tłumaczem jój życzeń, a oraz mieć możność przedstawiania słusznych jój zażaleń. Car jednakże, który podobnej nie uwzględnił prośby Cartoryskiego, dał i jemu odmowną odpowiedź.

Gdy takie były zabiegi ze strony Ogińskiego i innych obywateli zaboru, aby wyjednać coś od cara dla własnej ojczyzny, chciał go i Czartoryski zobowiązać spowodowaniem deputacyi od mieszkańców i wojska polskiego. Spodziewał się bowiem, że krokiem tym, schlebiającym próżności jego, dałoby się wiele osiągnąć. Lecz jeżeli mimo najusilniejszych starań niepodobna było skłonić obywateli po departamentach do wyprawienia deputacyi, stokroć trudniej szło z wojskiem, które ani słyszeć chciało o jakichś deputacyach do cara, a na udaną odezwę mniemanych wojskowych polskich, aby przeszło na stronę jego i jemu poruczyło los ojczyzny, odpowiedziało stanowczo, że stojąc wytrwale przy Napoleonie, odrzuca ze wzgardą te umizgi moskiewskie. Drażniło to nadzwyczaj cara i Moskali, lecz dokąd nie obalono Napoleona, musiano przymrużać oczy na niejedno, aby narodu nie przywieść do ostateczności.

Aleksander związawszy się przymierzem zaczepno-odpornym z królem pruskim, przyrzekł temuż, że państwo jego wróci do téj rozległości granic, jakie miało przed r. 1806. Gdy więc car przybył w połowie marca 1813 do Wrocławia, chciał go wybadać król pruski co do tego zastrzeżenia, ponieważ za cały swój zabór polski byłby wolał otrzymać jakę prowincję niemiecką. Lecz ilekroć zaczął mówić o tym przedmiocie, uchylał się zawsze Aleksander od rozmowy, czém go na wielki narażał niepokój. Fr. Wilhelm wysłał zatem Ant. Radziwiłła do Czartoryskiego Adama w nadziei, że od niego jako przyjaciela Aleksandra będzie się mógł dowiedzieć coś pewniejszego w sprawie polskiej, a tém samém i w własnej. Oświadczona w ten sposób przez króla pruskiego gotowość oddania zaboru swego za prowincje niemieckie zdała się Czartoryskiemu bardzo ważnym zwrotem w sprawie ojczyzny, i dlatego wystosował do cara list z naleganiem, aby korzystając z tak pomyślnój okoliczności, wezwał i Polaków w imieniu wolności do walki, która ma rozstrzygnąć i o losie ich ojczyzny. Mniemał nawet, że niejasnymi ogólnikami, któreby sobie każdy tłumaczył wedle życzeń własnych, może wszystkich pociągnąć, a i Austryą potrafi udobruchać zręcznym pojaśnieniem, że tak a nie inaczej należało się odezwać, aby odciągnąć Polaków od Napoleona. Car jednakże był i teraz głuchy na wszelkie przedstawienia podobne, gdyż chciał widocznie całą tę sprawę odroczyć aż do zakończenia wojny, aby przed czasem nie spłoszyć Austryi, która w gotowości zbrojnej zajęła wy czekujące stanowisko.

W tém rozgorzała nanowo walka. Sprzymierzeni pobici pod Lützen i Budziszynem weszli za pośrednictwem Austryi w układy z Napoleonem, które po kilkutygniowych rokowaniach spełzły na niczem, a za to Austrya przeszła na ich stronę. Napoleon uległ ostatecznie po bohaterskiej walce i musiał ustąpić z tronu, na którym zasiadł Ludwik XVIII. Aleksander poczytujący się za oswobodziciela Europy, zaczął odgrywać w Paryżu rolę pierwszego w świecie liberała. Zjawił się teraz w Paryżu i Cartoryski, a jak przedtém dzięki jego wstawianiu się car wyjednał u swych sprzymierzeńców, że pozwolili jeńcom polskim wziętym pod Lipskim wrócić do ojczyzny, tak odesłał i resztę wojska polskiego po układzie w Fontainebleau do kraju. Czartoryski przypomniał upojonemu powodzeniem wszystkie jego dawniejsze obietnice co do Polski, i skłonił nawet Kościuszkę, aby się z równym doń zgłosił życzeniem. Car odpisał najuprzejmniej Kościuszcze, że wszystko zrobi, byle mu sami Polacy pomagali do odrodzenia własnej ojczyzny. Ogłosił téż nową amnestyą dla zaboru swego, która jak zwykle nie obowiązywała jego czynowników. Idąc zaś w ślady swój babki Katarzyny II. chciał na czele swych baszkirów uszczęśliwić cały rodzaj ludzki.

Po upadku Napoleona, wysłaniu go na wyspę Elbę i przywróceniu na tron francuzki Bourbonów zgodzono się na kongres w Wiedniu, który miał przez uporządkowanie wszystkich spraw europejskich ustalić pokój świata. Car upewniał wszystkich Polaków, z którymi się zetknął czy to w Paryżu i Londynie, czy téż następnie w Petersburgu, Wilnie i Warszawie, że na kongresie podejmie sprawę ich odrodzenia, byle go sami popierali należycie. Jadąc zaś na kongres, wziął z sobą także i Adama Czartoryskiego. Myślą jego było zjednoczyć wszystkie ziemie polskie w królestwo odrębne, które jako konstytucyjne miało na wieczne czasy przez osobę carów być połączone z Moskwą. Że zaś w układzie kaliskim (27 lut. 1813.) przyrzekł królowi pruskiemu rozległość terytoryalną państwa jego z przed r. 1805., ułożył się z nim przeto, że za ustąpiony zabór polski otrzyma Saksonią, której króla należy ukarać jako zdrajcę Europy za to, że się w r. 1813 połączył z Napoleonem. Zaraz więc na początku kongresu wynurzył się ów projekt prusko-moskiewski, przyznający carowi całą Polskę a królowi pruskiemu Saksonią. Przeciw projektowi temu oświadczyły się Anglia, Francya i Austrya. Austrya szczególniej była za dosłownym wykonaniem warunku ugody reichenbachskiej i cieplickiej, zastrzegającego podział przyjacielski Księstwa Warszawskiego pomiędzy trzy rządy sąsiednie, w czém ją popierała Anglia a pod pewnym względem nawet i Francya. Nie brakło wprawdzie zaręczeń szumnych, że rzeczzone mocarstwa gotowe znaczne ponieść ofiary, gdyby szło o odbudowanie Polski prawdziwie niepodległej, lecz na takie, jak chce car pozorne przywrócenie jój do bytu, żadną nie zezwolą wiarą. Mo-



carstwa rzezzone nie występowały na prawdę z projektem odbudowania Polski niepodległej, a tak była to raczej groźba wymierzona przeciw carowi, że gdyby nie przystał na wykonanie warunków cieplickich, przyjsć może łatwo z ich strony do postawienia wniosku, aby odbudować Polskę niepodległą.

Czartoryski był teraz w położeniu nader trudnym. Jako Polak życzył sobie zupełnej niepodległości ojczyzny, co zdawało się także celem wspomnianych trzech mocarstw. Lecz z drugiej strony wiedział najdokładniej, że wszystkie piękne frazesy czy to pełnomocnika francuzkiego, czy też angielskiego i austryackiego, nie mają praktycznej doniosłości, i że poruszano sprawę niepodległości Polski na to jedynie w kongresie, aby odstraszyć cara i króla pruskiego od uporczywego popierania raz postawionego projektu i aby ocalić króla saskiego. Nie możemy się téż dziwić lub go potępiać, że będąc wtajemniczonym w to wszystko, co się działo na kongresie, wolał wraz z wielu Polakami Polskę zjednoczoną w myśl projektu cara, niż rozdzieloną według życzeń angielsko-austryackich, i że starał się o nadsełanie adresów z różnych stron Polski, żądających połączenia wszystkich ziem polskich w konstytucyjne królestwo pod berłem cara. Jako mąż stanu popierał tu Aleksandra, który coś przynajmniej proponował na korzyść Polski, a nie mógł się oświadczać za jego przeciwnikami, którzy prawiąc, że Polska niepodległa jest potrzebną dla Europy, nie postawili na kongresie kategorycznego żądania, by ją odbudować, ale domagali się podziału Księstwa Warszawskiego, czém chcieli zniszczyć i tę część samostnnej Polski, którą Napoleon odbudował. To też mógł i Aleksander straszyć ich odezwą do wojska polskiego, powołującą je do obrony ojczyzny, którą kongres chce podzielić, ponieważ wojsko to straciwszy wiarę w sprawiedliwość tegoż, było gotowe usłuchać wezwania.

Gdy jednakże projektowane przez cara odbudowanie Polski było ściśle połączone z zaborem całej Saksonii, aby wynagrodzić króla pruskiego, czemu najmocniej opierała się Francya, zaniosło się na potrójne przymierze między nią, Anglią i Austryą, aby udaremnić zachcenia moskiewsko-pruskie. Aleksander spuścił teraz sam z tonu, czém skłonił i Prusaków do ustępstw. Projekt odbudowania Polski zjednoczonej pod berłem carów i wcielenia całej Saksonii do Prus upadł stanowczo, a za to wynurzył się projekt pośredni, oparty na warunkach ugody reichenbachskiej i cieplickiej, w której zastrzeżono, że trzy rządy rozbiorecze mają w drodze polubownej podzielić się Księstwem Warszawskim. Zaczęły się też układy między tymi rządami, a ostateczną ich ugodę, objętą aktem końcowym kongresu, podpisało ośm głównych mocarstw, reprezentowanych na kongresie. Na mocy tej ugody wróciła część zachodnia Księstwa Warszawskiego do Prus, Kraków z małym okręgiem uznano wolnym miastem pod opieką

trzech rządów rozbioreczych, a z reszty Księstwa utworzył car odrębne konstytucyjne królestwo polskie; wszystkie zaś zabory miały uzyskać instytucje i reprezentacje narodowe, o ile to rządy rozbiorecze uznają zgodnym z interesami państw swoich. Car oświadczył dodatkowo, że zastrzega sobie prawo rozszerzenia granic królestwa polskiego przez wcielenie wien całego lub części zaboru swego, jeżeli tego uzna potrzebę. Rzecz prosta, że zastrzeżenie podobne wobec kongresu, który się nie domagał tego, było bezcelnem i na to jedynie obliczonym, aby ukoić nieco zawód Polaków. Z tego również powodu wyszły odezwy cara i króla pruskiego do narodu polskiego, wykazujące temuż dobrodziejstwa uzyskane dlań na kongresie.

### VIII.

Wielkie obietnice cara co do odrodzenia Polski zeszczipuły do bardzo drobnych rozmiarów, gdy utworzono Królestwo polskie, obejmujące część tylko Księstwa Warszawskiego. Mały ten obszar ziemi otrzymał szumną nazwę królestwa i konstytucję osnutą w części na ustawie rządowej 3 maja 1791, a w części na konstytucyi danej przez Napoleona Księstwu Warszawskiemu. Więcój nie zdołał uzyskać na teraz Czartoryski, a i car nie mógł się na coś rozleglejszego odważyć, ponieważ zatrważało go przeciwne Polsce i jej sprawie towarzystwo utworzone przez wyższych czynowników cywilnych i wojskowych w Petersburgu, a mające stosunki z bratem jego Konstantym. Nawet znany historyk moskiewski Karamzyn przedstawiał mu w memoryałach, że jakkolwiek mógłby potępiać rozbiór Polski z powodów moralnych i jako rażącą niesprawiedliwość, nie ma przecież prawa niszczyć dzieła swój babki, będącego już czynem dokonany, który podniósł ogromnie potęgę państwa moskiewskiego. Czartoryski wiedział o tych usposobieniach Moskali, dlatego nie mógł domagać się więcój od Aleksandra, niż zdołał uczynić na razie, i wolał polegać na jego przyrzeczeniu, że w sposobnej chwili, gdy zwolnią uprzedzenia samychże Moskali, połączy niewątpliwie zabór z królestwem, niż natarczywością uniemożliwić wszystko. Car zastrzegał przytém, aby ciągłym dopominaniem się nie kompromitowano go w oczach Moskali, którzy i tak szemrzą dość głośno, że się dał ować Polakom na szkodę Moskwy. To samo mniej więcój powiedział i Ogińskiemu na posłuchaniu (12 listop. 1815) w Warszawie z tym dodatkiem, że byle jemu samemu zostawiono rzecz całą, da się łatwiej wszystko zrobić, ponieważ Moskale nie będą mogli powiedzieć, że działo pod naciskiem żądań polskich. Nie podlega zresztą wątpliwości, że gdyby car był przeparł swój projekt w Wiedniu, Moskale musieliby się byli zgodzić na połączenie zaboru z resztą ziem polskich, a sam wzrost ten potęgi byłby im odjął powód wszelki do szemrania. Lecz gdy projekt ów upadł na kongresie, zdało się carowi niebez-



pieczn $\acute{e}$ m łączyć w brew ich życzeniu zabor z szczupłym kraikiem, który nazwał Królestwem polskim. Wiedział bowiem o ich nienawiści ku Polakom, a do jakiego ta dochodziła stopnia, świadczy najlepiej, że np. Korsaków generałny gubernator Litwy nie dozwolił podać w dziennikach wileńskich wiadomości o ogłoszeniu Królestwa polskiego, chociaż car był królem polskim!

Wraz z całym narodem doznał i Czartoryski ciężkiego zawodu, lubo pocieszał się nadzieją, że obietnice carskie ziszczą się później. Lecz wysłany do Warszawy, aby ogłosić Królestwo polskie, spostrzegł z przerażeniem, że brat carski Konstanty nie troszcząc się ani o konstytucyę ani o prawa, poczynił sobie we wszystkim według upodobania i to prawdziwie po moskiewsku. Próżne były jego utyskiwania na to w mnogich listach do cara a oraz dowodzenia, że taki stan rzeczy nie może się utrzymać, i że powinien odwołać Konstantego z Królestwa. Po ogłoszeniu konstytucyi i ustanowieniu rządu zamianował car swym namiestnikiem w Królestwie generała Zajęczka, a gdy tenże związał się najformalnie z Konstantym i w dodatku zaczął wychwalać przed carem wszystko, co rząd jego robił w Królestwie, uchylił się zniechęcony Czartoryski od spraw tegoż zupełnie. Zajęcia następne między młodzieżą szkolną na Litwie i wślad za nimi idące śledztwa i srogie prześladowania zniewoliły go do złożenia (1824.) kuratorstwa naukowego okręgu wileńskiego, które Aleksander powierzył teraz Nowosilcowi. Wcześniej od Czartoryskiego usunął się ze sceny publicznej Michał Ogiński, główny apostoł mesyanizmu carskiego w zaborze moskiewskim w latach 1811 i 1812, skoro się przekonał ostatecznie o płonności dalszych u cara zabiegów. Wyjechawszy za granicę, pisał tam swe pamiętniki, w których umieścił wiele ciekawych szczegółów do naszych dziejów porozbiorowych.

Tak więc zawiedli się wszyscy, którzy znułali obietnicom Aleksandra I. Zawód był tu koniecznością do uniknięcia, ponieważ trudno przypuszczać, że ten sam carat, który od wieku przeszło pracował nad tem, aby sprowadzić zagładę Polski, może pragnąć j $\acute{e}$ y odrodzenia lub j $\acute{e}$ y dopomagać do tego. Była to wielka pomyłka polityczna, którą t $\acute{e}$ m jedynie możnaby w części usprawiedliwić, że w tak wyjątkow $\acute{e}$ m położeniu ojczyzny rzucano się skwapliwie w każdym kierunku, zkąd najlepszy zabłysnął promyk nadziei j $\acute{e}$ y odrodzenia. Jeżeli zaś błędzono zbyt ufnością w obietnice Aleksandra I., trzeba za to oddać słuszną wszystkim, którzy wchodzili z nim w stosunki, że starali się o to najusilniej, aby zapewnić czy to w całości czy w części odbudowanej Polsce zupełną odrębność, a związek j $\acute{e}$ y z państwem moskiewskim oprzeć na unii tylko personalnej. Żądali bowiem wyraźnie, że Aleksander i następni po nim carowie mieli być konstytucyjnymi

królami polskimi, przezco by faktycznie czy to cała Polska czy część tejże nie należała już do Moskwy, ale będąc przez osobę monarchy z nią złączona, zachowałyby w zupełności swą odrębność państwowo-narodową. Nie odzyskiwało się przez to całkowitej niepodległości, lecz położenie narodu stałoby się było o tyle znośniejsz $\acute{e}$ m, że owa odrębność byłaby mu zapewniła wszystkie warunki rozwoju na własnej podstawie narodowej, które mu odjęto po dokonanych podziale kraju. Wskutek bowiem tego podziału rozerwano naturalne łączniki narodu, a pojedyncze zabory powcielano w trzy obce ich naturze organizmy społeczno-państwowe, i kazano im odbywać wszelkie funkcje życia trybem sprzecznym z ich wrodzonymi usposobieniami, przezco odjęto im warunki życia i rozwoju a skazano na samo tylko bytowanie. Położenie podobne było tak nieznośn $\acute{e}$ m, że część gorętsza narodu wołała najrozpaczliwszych chwycić się raczej środków, niż konać powolnie. Ci zaś, którzy nie wierzyli w możność zdobycia sobie siłą lepszych warunków bytu, chcieli korzystać z przychylnych oświadczeń Aleksandra I. I im szło o te warunki życia i rozwoju, a punktem wyjścia miała być unia personalna z zastrzeżeniem najzupełniejszej odrębności administracyjnej, którą w swych projektach zastrzeżli Czartoryski i Ogiński, chociaż ostatni z niechęci i niewiary ku Napoleonowi spowodował w chwili stanowczej szkodliwy rozbrat w obozie narodowym, gdy przyjął na siebie rolę apostoła mesyanizmu carskiego, miasto nawoływać wszystkich do walki z Moską w przymierzu z Napoleonem. Oświadczenia carskie mogły w ow $\acute{e}$ j chwili krytycznej nie jednemu podobać się lepiej, niż odezwy Napoleona. Car bowiem obiecywał złote góry za bierne niejako zachowanie się w ciągu wojny, gdy Napoleon powoływał do broni, i kazał siłą oręza rozkować swe p $\acute{e}$ ta. „Siedźcie panowie cicho, prawili Tormansów i Czyczugów ziemianom w trzech południowych guberniach, a car dobrotliwy widząc wierność wasz $\acute{e}$ y, przywróci wam niewątpliwie ojczyznę i zleje na was największe łaski! Były to obietnice wynurzane tak samo poufnie jak owe przyrzeczenia cara, czynione Czartoryskiemu, Ogińskiemu i innym, które zat $\acute{e}$ m nie obowiązywały do niczego. Czartoryski i Ogiński nakłaniali wprawdzie Aleksandra, aby po odwołaniu wojsk francuzkich uroczystym manifestem zapowiedział odbudowanie Polski w warunkach wyżej wskazanych, lecz starania ich były daremne, ponieważ car nie chciał się aktem podobnym wiązać wobec Europy i Polaków, którzy domagali się od niego dotrzymania obietnicy urzędownie niejako wypowiedzianej. I dlatego musiało się skończyć na utworzeniu kongresowej Polski i na mało znaczącem zastrzeżeniu, że wszystkie ziemie polskie mają otrzymać instytucje i reprezentacje narodowe w takiej rozciągłości jak to uznają stosown $\acute{e}$ m trzy rządy rozbiorcze.



# SAMARYTANKA.

**J**uż dzień strudzone mruży powieki,  
 Umilknął boju gwar gdzieś daleki,  
 I pole bitwy — co śmierć zorała —  
 Cmentarna cisza owiała.

To opuszczony w dzikim ustroniu,  
 Umiera Krakus przy swoim koniu,  
 I twarz płonąca tuląc do ziemi  
 Skarzy się usta spiekłemi:



SAMARYTANKA.

Ale cóż jeszcze głuszę przerywa?  
 Czy anioł śmierci nie skończył żniwa —  
 Czy dzicz zwycięzka zbierając łupy  
 Oprawia rannych i trupy?

— „O Panie! ogień pierś moję pali;  
 „Niech się nademną niebo uzali!  
 „Daj skończyć mękę, lub dla ochłody  
 „Choć kroplę zeszelej mi wody!



„Jam wiernie służył w Twoim zakonie;  
„Wszystko oddaję w jego obronie:  
„I krew serdeczną, i raj młodości —  
„Litości, Panie, litości!“

Ledwie ostatnie wyjęknął słowo,  
Budzi go jakiś szelest nad głową,  
I biała postać jawi się w zmroku —  
Jak anioł boży w obłoku.

— „Ktoś ty?!“ — „Ach cicho! Jestem cyganka;  
„Czerpiąc u źródła wody do dzbanka  
„Słyszałam skargę waszą i jęki  
„I przysłałam ulżyć wam męki.

W marcu 1870.

### MARYA KLEMENTYNA SOBIESKA.

W swobodziciel Wiednia, pogromca Turków a wybawca chrześcijaństwa, król Jan III., „niezwyciężony lew Lechistanu“, jak go nazywali Turcy, zmarły w roku 1696, pozostawił trzech synów: Jakóba, Konstantego i Aleksandra.

Zelektryzowany podupadający bezrządem i gnusnością naród polski—pobożnym zapałem i wojną za wiarę świętą, uświetnił Sobieski polityczny zachód Polski wielkimi dziełami oręża, pomnożył jej zasługi wobec chrześcijańskiego świata i cywilizacji zachodniej Europy świetnym szeregiem wiekopomnych zwycięstw nad półksiężycem. Ale u schyłku życia zboczył ten ostatni król-bohater dawnej Polski z obranej drogi, uniesiony rwącym prądem rozhułkanych namiętności własnego narodu; wpuścił Moskwę w granice Rzeczypospolitej, dał się uwikłać intrygom Austrii, pracował nad utrzymaniem swojej dynastii i nad pomnożeniem bogactw domu swego, w których w końcu jedyne pokładał zaufanie. Przeżywszy samego siebie, doznawszy wielokrotnie bolesnych zawodów, zraniony niewdzięcznością swoich i cudzych, umierał Jan III. z rozpaczą w sercu, wyrzekając na świat, w którym „żniwo złego, grzech, złość i zdrada wybujały!“

Ta tragiczna fatalność, która nie dozwoliła Janowi III. ziścić świetnych zamiarów oparcia granic Polski o Dunaj i uratowania ojczyzny od przepowiedzianego jej już przez Jana Kazimierza upadku, przygniotła swoim brzemieniem i jego synów. Nie pomogła ani zdobyta krwawym trudem sława imienia ojca, ani uzbierane przezeń później kosztem tej sławy bogactwa. Żaden z synów Sobieskiego nie wstąpił na tron królewski!

„Pijcie! Lecz cicho! bo tam jak katy  
„Czyhają wkoło moskiewskie czaty...  
;Gdyby dostrzegli — za litość moją  
„Zginęlibyśmy oboje.“

Krakus pochwyił dzban w obie dłonie,  
Ugasił pożar śmiertelny w łonie,  
I łąz wdzięczności płacąc za leki  
Usnął spokojnie — na wieki.

Dziewczyzna kornie zgjęła kolana,  
Zmówiła pacierz u zwłok młodziana;  
A Bóg — co widział ten czyn dziewiczy —  
Pewno go w niebie policzy.

FR. WALIGÓRSKI.

Najmłodszy Aleksander, ulubieniec ojca i żywy jego obraz, umarł w zakonnej szacie kapucyna w Rzymie, (w roku 1714), gdzie mu na nagrobku te smutne wypisano słowa: „Robak za życia, proch po śmierci!“ Średni Konstanty pozostał w rodzinnym gnieździe w Żółkwi, gdzie bezpotomnie zakończył życie (w roku 1726). Najstarszy Jakób, ożeniony z Jadwigą, księżniczką Palatynsko-Neoburską, i skoligacony przez żonę z cesarzem Leopoldem i królami hiszpańskim i portugalskim, nie utrzymał swojej kandydatury do tronu na elekcji po śmierci ojca, osiadł na Szląsku w mieście Olawie, które mu cesarz Leopold wraz z przyległym powiatem dał w zastaw za wypożyczoną od niego sumę.

Wielka wojna północna, wzniecona przez Augusta II. i cara Piotra I., wywołała królowicę Jakóba Sobieskiego znowu na widownię historyczną jego ojczyzny. Zwycięzki Karol XII., król szwedzki, żądając detronizowania Augusta II., zwrócił uwagę na Jakóba i przyrzekł mu przeprowadzić jego elekcję na króla polskiego. Ale przepłaciwszy tą powtórną kandydaturę o tron ojca dwuletniem więzieniem w Koenigsteinie, do którego go nikczemny August II. zdradzieckim sposobem wtrącił, a z którego dopiero traktat Altranstadzki go wyswobodził, usunął się królowic Jakób w zacisze swojego olawskiego dworu, gdzie mu uprzyjemniały spokojny żywot w kółku rodzinnym trzy piękne córki: Kazimira, Karolina i Marya Klementyna.

Najmłodsza z trzech siostr, pochrześnica papieża Klemensa XI. i na cześć swojego chrzestnego ojca nazwana Klementyną, słynąca nadzwyczajnymi wdziękami, kończyła właśnie rok szesnasty, gdy w lipcu roku 1718 przybył na



dwór olawski szlacheic irlandzki, Musray, w poselstwie od Jakuba Stuarta z prośbą o rękę księżniczki. Młody Jakób, syn detronizowanego króla W. Brytanii, Jakóba II., przebywał podówczas w Rzymie, jako wygnaniec oczekujący wypadków mogących mu ułatwić powrót do tronu, który ojciec jego skutkiem tradycyjnej w rodzinie Stuartów stałości w wierze katolickiej był utracił. Uznany po śmierci ojca przez wszystkie prawie katolickie państwa prawym monarchą Anglii, nie przyjął Jakób ofiarowanego sobie przez siostrę swoją, królowę angielską Annę, następstwa na tron, a to dlatego, że ofiara ta była połączona z warunkiem zmienienia wyznania. Tak silne przywiązanie do swojej wiary zrobiło Stuarta przedmiotem czci dla całego katolickiego świata, wzbudziło powszechne dlań uwielbienie, którego dowody dając mu papież Klemens XI., otworzył mu gościnne w Rzymie przyjęcie, i chcąc wraz z innymi stronnikami i opiekunami Jakóba zapewnić potomków sprawie dynastji Stuartów, proponował w małżeństwo młodemu pretendentowi najmłodszą córkę królewica Jakóba Sobieskiego. Chwalone powszechnie zalety duszy i ciała księżniczki skłoniły Jakóba do przyjęcia propozycji i wzbudziły w nim szczerą ku Klementynie skłonność, którą późniejsze wypadki w głębokie i trwałe zamieniły przywiązanie. Również i Klementynie nie mógł być niemiłym młodzian, który jakkolwiek wygnaniec, był jednak prawym dziedzicem korony trzech połączonych królestw, Anglii, Szkocji i Irlandji, i potrafił zjednać sobie powszechny szacunek i współczucie. A że i oboje rodzice Klementyny, a szczególnie matka jej skoliigacona z domem Stuartów, przychylni byli pretendentowi, więc żadne przeszkody nie sprzeciwiły się życzeniom Jakóba ze strony olawskiego dworu. Marya Klementyna Sobieska została tedy solennie zaręczoną Stuartowi.

Ale młodej parze narzeczonych zagroziły z zewnątrz niebezpieczeństwa, mogące zniweczyć ich zamiary. W. Brytania widziała z niechęcią zamiśl zaślubin pretendenta, a dwór austriacki, od którego królewic Sobieski wraz z całą rodziną swoją w pewnej zostawał zawisłości, zostawał w ścisłym z królem angielskim przymierzem, i można było łatwo przewidzieć, że nie zezwoli na oddanie ręki księżniczki nieprzyjacielowi swojego sprzymierzeńca. Trzeba więc było rzecz całą otoczyć najgłębszą tajemnicą, ażeby jej nie narazić na rozbitcie się o tak wielkie zawady. Niepodobna też było wymagać, żeby narzeczony przybył do Olawy, i królewicowa Sobieska musiała się zdecydować do wywiezienia córki do Włoch, gdzie w Bononii oczekiwał młody Stuart oblubienicy swojej. W największej tajemnicy, incognito, w skromnym orszaku kilku tylko dworzan, wybrały się obie damy w podróż, i omijając Wiedeń zmierzwały przez Tyrol do Włoch. Ale pomimo wszelkiej ostrożności, została Sobieska z córką zatrzymana w Insbruku i nie dozwolono im dalej jechać. Nie chcąc wracać do

domu, musiały obie damy pozostać pod strażą w stolicy tyrolskiej, w której poniewolny pobyt przeciągnął się aż do wiosny roku 1716.

Wstrzymanej tak pośród drogi księżniczce i zawiedzionemu w najmilszych nadziejach pretendentowi pozostawał w takim składzie rzeczy tylko jeden środek — ucieczka! Był to oczywiście środek ostateczny, i dlatego próbowano najprzód uzyskać wolność obu księży, udając się listownie z prośbą do cesarza. Gdy jednakże cesarz uwolnienia księżniczki Klementyny stanowczo odmówił, przyjęto podany przez Jakóba projekt tajemnego opuszczenia Insbruku. Rodzice narzeczonej zgodzili się na ten krok awanturniczy i niebezpieczny dopiero po otrzymaniu listu od papieża Klemensa XI., w którym tenże nalegał na dotrzymanie jak najprędzej zobowiązań przyjętych obopólnie przez parę zaręczoną i zapewnił rodzinę Sobieskich o swojej niezmiennej przychylności i szczególniejszej opiece dla księżniczki Klementyny. W największej tajemnicy, z niewysłowioną ostrożnością a z gorączkowym pospiechem poczęto tedy robić potrzebne do ucieczki przygotowania. Podczas kiedy młody Stuart ze względów politycznych musiał wyjechać z Włoch do Hiszpanji, powierzone zostało wykonanie śmiałego planu zaufanemu powiernikowi królewskiemu, Irlandczykowi Woganowi. Z trudnością dobrał sobie Wogan towarzyszy, gotowych narażać się na przedsięwzięcie, zwłaszcza podrzędnym sprawcom tak niebezpieczne. Byli to Irlandczycy służący w wojsku francuskim, kapitanowie, Toul, Misset i major Gaydon. Kapitan Misset wtajemniczył prócz tego w sprawę swoją żonę, która znowu przybrała sobie do pomocy swoją pokojową. Całe to towarzystwo, złożone z sześciu osób, rozdzieliło się na dwie grupy, i opatrzywszy się w fałszywe paszporta, ruszyło drogą wskazaną przez Wogana, głównego kierownika wyprawy, ze Strasburga do Insbruku.

Tym razem przyswiecała zamysłom Stuarta nadspodziewanie szczęśliwa gwiazda. Wogan i jego towarzysze, ożywieni tem przekonaniem, że zręcznością i odwagą swoją przysłużą się swojemu prawemu monarsze i przyczynią się do ustalenia prawej dynastji na tronie Anglii, nie szcędzili żadnych trudów, aby powierzone sobie zadanie wykradzenia księżniczki jak najpomyślniejszy uwieńczył skutek. Rzecz najtrudniejsza, to jest wyprowadzenie księżniczki za mury insbruckiego więzienia, powiodła się szczęśliwie. W miejsce księżniczki wprowadzona została do komnat książęcego więzienia pokojowa pani Misset, której obecność przy ciągłym zasłanianiu grubym welonem twarzy z powodu gwałtownego jak udawała bólu zębów, omyliła bacność stróżów na dni kilka. Kiedy wreszcie zdrada się wykryła, była już księżniczka Klementyna poza granicami cesarstwa, w zupełnym bezpieczeństwie, na terytorjum papieża, opiekuna swojego i króla Jakóba.

Całą drogę z Insbruku do Bononii odbyła księżniczka



w ostatnich dniach kwietnia i pierwszych maja, z nadzwyczajnym pospiechem, dając dowody heroicznej prawdziwie odwagi i wytrwałości, podczas kiedy jej towarzysze przeżywali się nawzajem w pieczołowitości o jej zdrowie i bezpieczeństwo. Podróż przeszła szczęśliwie, i oprócz drobnych przygód, jak np. złamanie koła u berlinki wiozącej księżniczkę, nie doznano żadnej groźniejszej przeszkody. Dnia 16. maja stanęła Klémentyna w Rzymie, w klasztorze Urszuliniek, który miał jej służyć za tymczasowe mieszkanie. Papież powitał ją medalem wybitym na jej cześć, na którego jednej stronie był napis: „Spieszę za szczęściem i słusnością“.

Wkrótce powrócił król Jakób z Hiszpanii. Zawiedzione powtórnie nadzieje odzyskania tronu ojcowskiego

osłodziło mu połączenie się z narzeczoną w Monte Fiescone, gdzie biskup dycecezalny w imieniu papieża związał świętym sakramentem małżeństwa dostojnych oblubieńców.

Ale jak żadnemu z synów króla Jana III., tak i wnuce pogromcy Turków nie było przeznaczone zasiąść na tronie królewskim. Król Jakób daremnie oczekiwał pomyślnej dla siebie konstelacji politycznej. Klémentyna, zostawszy matką dwóch synów, po szesnastoletniem życiu małżeńskim, wyrzekłszy się wszelkiej wielkości ziemskiej i wszelkich roskoszy światowych, umarła w klasztorze Urszuliniek w Rzymie dnia 18. stycznia 1735, zostawiając po sobie sławę rzadkiej świętobliwości.

L. T.

## NIHILISTA.

POWIEŚĆ

PRZEZ J. J. J.

(Ciąg dalszy.)



Lityńcach wszystko szło tak, jakby się nie nadzwyczajnego nie stało. Najlepszy gończy z policyi moskiewskiej nie zwietrzyłby zbrodni stanu, dokonanej w olbrzymich rozmiarach a tem większej, że wynikającej ze zmywy szlachcica polskiego, żyda, chłopów i popa. Żywioty naród składające zlały się w jedno, to jest, zrobiło się tam na drobną skalę to właśnie, co potrzeba do odbudowania Polski. Cóż to za straszna zbrodnia!...

Ale utonęła ona niby w morze na dno. Pokryły ją czasu fale i ułożyły się na niej w ruch codziennego, zwyczajnego żywota, który się toczył, jak wczora, jak zawsze. Nic się w Lityńcach nie odmieniło. Tylko nazajutrz po opisanych powyżej wypadkach, we dworze przy kawie miejsce, które wczora zajmował ksiądz, zajął młodzieniec lat nie więcej jak ośmnastu, ogorzały, wyglądający na silnego i hartownego. Ręce miał grube i szorstkie, jakimi zazwyczaj bywają u ludzi fizycznej pracy oddanych. Mimo to jego wejrzenie i ogólny wyraz jego twarzy znamionowały człowieka, obdarzonego zdolnością myślenia. Siła fizyczna była jakby świadectwem siły moralnej, ukrytej pod szorstką powłoką.

Pani Zawiejska z roskoszą, jakiej doznaje tylko matka szczęśliwa, patrzyła na tego młodzieńca, któremu na imię było Konrad, który był synem państwa Zawiejskich a bratem starszym Handzi, i który tej nocy, w chłopskiej odzieży

i z batogiem w rękę, szedł przy jednym z wozów, co do popowej pasieki przywiozły jakieś paki.

Młodzieniec pił kawę ze śmietanką i smakował.

— Co za doskonała! zwłaszcza po czterotygodniowem niepicciu...

Matka ze współczuciem na syna spojrzała, i zwróciwszy się do ojca tonem wyrzutu zapytała:

— Czyż nie można się było obejść bez tego, aby Konradzia na takie niewygody narażać?...

— Było można — odpowiedział zapytany — tak jak obejść się można bez wielu rzeczy, łączących niewygodę z korzyścią... W naszym położeniu jest takich rzeczy bardzo dużo... i bardzo ważnych... Do najważniejszych należy: potrzeba zlania się z ludem... Tej nie uczyni się zadość, jeżeli klasa oświecona nie wejdzie wśród klasy ciemnej, nie wnuknie w nią, nie wsiąknie, jeżeli nie będzie z nią podzielała pracy, trudów i niebezpieczeństw; jeżeli będzie sama na Olimpie przesiadywała, prawiąc chłopom o wolności i miłości, i wymagając od nich, aby za nią koszta opłacali...

Pani Zawiejska rozumiała to; nie pierwszy bowiem raz miał jej o tych rzeczach. Zresztą widziała, że on sam bynajmniej się nie uchylał od praktykowania wyznawanych przez siebie zasad; że nie kazał synowi robić, czegoby sam nie zrobił i nie robił. Widziała jednakże położenie owoczesne wyjątkowem, pełnem groźnych nie-



bezpieczeństw, i ten był powód, dla którego byłaby wołała, aby ojciec trochę więcej syna oszczędzał. Lecz marszałka upor pod tym względem był nie do przełamania. Szedł drogą swoją bez zboczenia. Więc i marszałkowa z nim iść musiała, skarżąc się niekiedy, nie przeciwiąc się atoli nigdy woli męża, którego rozum i obywatelska zacność była dla niej artykułami wiary.

Więc, jak powiedziałem wyżej, tryb życia w Lityńcach nie zmienił się w niczem. Praca około zajęć gospodarskich szła zwykłym porządkiem. Jak dawniej przyjeżdżali do dworu goście i odjeżdżali, i najwprawniejsze oko nie byłoby w stanie dostrzedz, że nie jeden z gości wwoził i wywoził zbrodnię stanu, sprzężoną z tą zbrodnią, która pod postacią walki bezbronných gromadek przeciwko jednej z najpierwszych w świecie militarynych potęg, ryła dla siebie wspomnienie w dziejach i tradycją w sumieniu narodowem.

Powiat X. pomimo że w zbrodni udział wziął, jako spółnik i pomocnik, nie wziął jednakże udziału w walce. Nie wystąpił z orężem w rękę. Zaznaczam ten fakt bez komentarza, jedyne dla niego usprawiedliwienie upatrując w tem, że jeżeli powodzenie powstania wymagało poprzedniego przygotowania się w królestwie, to tem bardziej przygotowanie się to potrzebnem było na Rusi. W braku przygotowania, odkładanego do ostatniej chwili, i po nadejściu tej chwili pospiesznie przeprowadzanego, upatrywać należy powód małego stosunkowo udziału, wziętego przez Ruś w styczniowem powstaniu. Luźne zrywania się nie ogarnęły kraju od Dniepru do granic Czerwonej Rusi, nie zapaliły go z czterech końców. Zostawiono Moskalom za dużo czasu do zabezpieczenia się przeciwko pożarowi — do powstrzymania powstania, do którego ochotników nie brakowało ani pomiędzy szlachtą, poczuwającą się do obowiązku bronięcia ojczyzny, ani nawet pomiędzy włościańską czarniawą, której przywiązanie do tronu carskiego Moskali dziś tak głośno wynoszą! — a która dowiodła w 1855 roku, jakim to przywiązanie jest, pozostawione na dowolność chłopską. Pochodzący z występnego polskiego „niechajno“ brak dostatecznego a roztropnego przygotowania sprawił, że tu, pod Sołowijówką, garstka powstańców stworzyła piękną zwrotkę bojowej piosenki; ówdzie, pod Radziwiłowem, inna garstka zlała krwią ofiarną pole ojczyste; tam znów, pod Kostungalią, przebojem spieszący do ojczyzny wygnańcy grzmotem boju odpowiedzieli na apel narodu. Ruś nie zdobyła się na nic więcej, z winy szlacheckiego „niechajno“, które i powiat X., przygotowany do orężnego wystąpienia ogarnęło i na czekanie do końca i przeczekanie wskazało.

Współpowiatowcy marszałka Zawiejskiego często się dowiadywali:

— Broń jest?

— Jest...

— Kiedyż powstajemy?

— Jak inne powiaty będą gotowe...

— Jak się o tem dowiemy?...

— Wydział Rusi da rozkaz...

— A gdybyśmy?... nie czekając? — hazardował ten i ów.

Marszałek głową kręcił i tłumaczył potrzebę rewolucyjnej harmonii, pojęcie której tak dalece posunął, że nie pozwolił synowi wyrwać się pojedynczo do walczących w królestwie oddziałów. Napróżno Konrad słał się ojcowi u nóg i błagał, zaklinał; napróżno Handzia płaczem i prośbami za bratem się wstawiała, napróżno sama nawet marszałkowa do prośb dzieci łączyła perswazyą, usiłując męża przekonać, że syn w rozpacz wpadnie. Marszałek okazał się nieugiętym. Na wszystkie prośby, płacze i przedstawienia jedną miał odpowiedź:

— Ojczyznę kochać należy gorąco; lecz w pełnieniu względem niej powinności zachować potrzeba krew jak najzimniejszą...

Do tej prawdy, która w duszy każdego Polaka powinna być złotem zapisana głoskami, doprowadziła go praktyka pełnienia powinności. Inni palą się w nagłej chwili czynu, chcąc w jednym momencie wynagrodzić stracony czas, i wpadają w stan gorączkowy, gwałtowny; on nie palił się, bo czyn służenia krajowi miał u niego ciągłość, idącą z przeszłości w przyszłość, unormowaną, spokojną, zdrową, zimną i zdającą sobie sprawę z każdego kroku, na pozór obojętną a w istocie rzeczy wyrozumowaną.

Z wyrozumowania pochodziło niepozwolenie synowi pójścia do powstania. Miało ono racją swoją w tem, że gdyby był poszedł Konrad, to za Konradem wymknęliby się co najgorętsi, i na chwilę wybuchu powiat X. byłby pozabawiony żywiołu porywającego. Gdyby powstawać nie miał, byłoby co innego; lecz że powstawać miał, więc marszałek uważał powiatowców swoich jako zapisanych do jednej chorągwi i obowiązanych stać pod nią do końca, chociażby przyszło się być wystawionymi na najsrozsze próby cierpliwości, na największe pokusy. Dlatego to na prośby i błagania odpowiadał:

— Pójdiesz wraz z powiatem X.

— A jeżeli powiat nie powstanie?..

— Jeżeli nie powstanie teraz, to się doczeka momentu sposobnego później...

— Na cóż my tę broń sprowadzili! — wołał młodzieniec w rozpaczny prawie.

— Na to, aby ją zachować na potrzebę narodową i mieć na każde zawołanie...

Nie chciał tego Konrad rozumieć, nie chciała rozumieć Handzia; lecz zgodzić się musieli z wolą ojca, która się okazała niezłomną, niby wola przeznaczenia. Marszałkowa była w duszy zadowolona, jako matka, nie zaś jako Polka. Pocieszyło ją to, że syn ocalał — że nie znaj-



dował się na tym okręcie, który się rozbił, i że ani utonął, jak jedni, ani wypłynął na brzeg niegościnnie, jak drudzy, ani też poszedł, smutny rozbitek, na chleb tułaczy, jak inni. Rozbicie jednakże smuciło ją, jak smuciło Handzię śledztwa, procesy i prześladowania: — pan Zawiejski pełnił swoją funkcję marszałkowską, jakby nic nie zaszło. Jak do wszystkich powiatów, tak do powiatu X. przysłano na marszałka Moskala: — pan Zawiejski zdał



MARYA KLEMENTYNA SOBIESKA. (str. 149).

i Konrada, jak smuciło wszystkich, tych nawet, co zerwanie się z bronią w rękę poczytywali za nieroztropność.

Marszałek pozostał takim, jakim zawsze był — spokojny, zimny i napozór obojętny.

Jak na wszystkie powiaty, tak na powiat X. spadły

mu służbę i zamknął się na wsi.

Nic go nie dziwiło, nic nie oburzało, nic mu żadnej szkody dotkliwej nie sprawiało. Przyszły kontrybucye: — nie potrzeba było panu Piotrowi licytować narzędzi gospodarskich, bo miał dla Moskali na odczepne zapasy;



przyszła zmiana stosunków włościańskich: — w Lityńcach nie potrzeba było nic zmieniać, bo tam poddaństwo od dawna już de facto nie istniało; chłopcy byli właścicielami, zagospodarowanymi, ze stanem posiadaczy ziemskich oswojonymi i jak najzupełniej zadowolonymi. W ogólnej pladze, jaka na wszystkich razem i każdego z osobna w skutek nieszczęśliwie zakończono powstania spadła, Lityńce miały pozór zielonej oazy w piaszczystej pustyni. Wszystko tam dyszało spokojem i tętniło ruchem pracy, mającej za cel hasło „przez lud dla Polski“, pracy, która ani na moment nie ustawała, ani na jedną chwilę zawieszoną nie była. Moskale robili sobie swoje, Lityńczanie związani w jeden pęk żywiołów, polską społeczność składających, swoje.

Co zaś robili? — to się da w krótkich wyrazić słowach: orali, siali, zbierali, uczyli się, Boga chwalili, wzajemnie sobie pomagali, kochali się i niby oka w głowie strzegli popowej pasieki, a w pasiece skarbu, który w ich przekonaniu był własnością narodową, świętą, drogą, jak zadatek przyszłości swobodnej, jasnej, szczęśliwej.

Posiadali oni kasę gromadzką. Z tej kasy co pół roku pewna kwota przenosiła się do rąk pana Piotra, i co pół roku Naftuła gdzieś odjeżdżał i po jakimś czasie powracał z wódką lub z towarami, które zanosił o północy do księzego lasku, i pomnażał niemi skład spoczywający w temniku.

Głównym strażnikiem tego składu był pasiecznik, zawiadowcą zaś, a raczej konserwatorem, pan Piotr.

Urządził też go na podziw. Wszedłszy z latarnią do podziemia, w zdumienie wprawiało to co się tam widziało. Cały arsenał w jak najbardziej wzorowym utrzymaniu był porządku. Wzdłuż ścian stały rzędami karabiny na podstawkach z desek, każdy na swoim miejscu; nad karabinami na kolkach wisiały szable i pistolety; w osobnym kompartymencie, deskami dla bezpieczeństwa zaszalowanym, stały w pakach, ołowianym papierem wewnątrz obwiniete, gotowe ładunki i w beczkach proch; na środku stosami leżał ołów; koziołki, mające kształt szarag, i żerdki do sufitu przytwierdzone były zawieszono rzemieniami i ładownicami; na stołach, w blaszanych pudełkach, ustawione były pistony; w kątach spoczywały narzędzia saperskie; a ku największemu zdumieniu, ustawione w głębi na podniesieniu z desek, stały na lawetach dwa działka systemu Witleworta. Był to więc arsenał zupełny, nie wielki ale zato dobrany, i co pół roku regularnie powiększający się kilkudziesięciu świeżo przywiezionymi sztukami.

Pasiecznik go strzegł, pan Piotr doglądał. Za sprawą to tego ostatniego, przy pomocy głównie domowników i księdza, każda sztuka była zawsze wyczyszczoną i wytartą. Śladu rdzy na żadnej dostrzedz nie było można.

Ponieważ zacność pana Zawiejskiego, powaga jego wśród obywatelstwa i zamożność były zaletami w oczy bijącymi, przeto Moskale cały wyteżali dowcip, aby mózgo schwytać na ezemś, co by się dało podciągnąć pod kategorię intrygi polskiej. Wprawdzie woleliby wygrzebać zbrodnię współnictwa w buncie, lecz o tem nawet nie myśleli; tak im się wydawało niepodobnem, aby człowiek, który się w takim czasie jak powstanie nie uniósł i z partyotyzmem nie zdradził, mógł do buntu należeć. Zaliczali go do rodzaju tych, co powstanie odpychali jako środek, a natomiast podstawiali inny, nie mniej buntowniczy, ale nie ujętny; i wszyscy, ilu ich było, sprawnik, stanowy, przystaw, szafarze sprawiedliwości, marszałek i mirowi, o tem tylko marzyli: jakimby to sposobem taką grubą rybę ująć w sieć?

Lecz sposoby, jakich przeciwko niemu używali, nie przynosiły pożądaných owoców.

Udawali się do popa, któremu w perspektywie ukazywali wysokie dostojeństwa w kościele, i opatrzyli go w stosowne instrukcje. Pop podjął się Lacha śledzić. Śledził, zdawał regularnie raporty bardzo szczegółowe; lecz z raportów tych nie dało się wycisnąć nic, co by posłużyć mogło jako pretekst do wysłania go chociażby tylko na mieszkanie do wielkorosyjskich gubernij.

Udawali się do żyda, któremu przyrzekali sute wynagrodzenie, i opatrzyli go w stosowne instrukcje. Żyd podjął się pana złapać. Łapał, chodził do sprawnika i marszałka z donosami; lecz z donosów tych nie dało się wycisnąć nic, co by posłużyć mogło do pociągania go do odpowiedzialności za polską intrygę.

Wiedzieli, o której Zawiejski wstawał, o której szedł spać, kiedy i co jadał, jakie rozporządzenia dawał oficyalistom we względzie robocizny; wiedzieli, kiedy listy z poczty odbierał i jakie dzienniki prenumerował; wszystko to w osobnej rubryce starannie notowali, i jasno, jak na dłoni, wystawała im w oczach intryga, ale na następujących opartych danych:

Pierwsze: Wstawał równo ze wschodem słońca i wczesnie szedł spać; a ponieważ o tej samej porze wstają i idą spać chłopcy, więc upatrywali w tem chęć przypodobania się „ruskiemu“ narodowi i ujęcia go sobie.

Drugie: Nie krzywdził chłopów; ten fakt powyższe podejrzenie stwierdzał i potęgował.

Trzecie: Jadał barszcz, zrazy, pierogi, kluski; nie pijał wódek ani win, tylko wodę; to znaczy: polskie zwyczaje łączył z występłą wstrzemięźliwością, obrachowaną na to, aby pozbawić rząd dochodów z kabaku i od trunków.

Czwarte: Prenumerował polskie pisma, wspierał więc piśmiennictwo buntownicze i potępione.

Piąte: Listy do niego i przez niego pisywane, które pilnie na poczcie czytano, były wszystkie bez wyjątku po polsku i zawierały w sobie bardzo często takie wyrazy,



jak np. „kochany“, będący w związku z polskim „kochamy się“, albo „my“, oznaczający separatyczną dążność; albo też napełnione były skargami na biedę, zdradzającami niezadowolenie z istniejącego rzeczy porządku, lub wypowiadały pocieszenie, każące się domyślać zachęty do wytrwania w występnych uczuciach.

We wszystkim tem widną była intryga, widnem było podziemne knowanie, nie dające wszelako ujść się w formę oskarżenia o buntownicze zamiary. Sprawnik głowy nalał i odbywał częste narady z Mikołajem Michajłowiczem. Owocem tych narad było to, że Mikołaj Michajłowicz napisał raport do gubernatora, oparty nie na paragrafach „Swodu Zakonów“, lecz na wywodach psychicznych. W raporcie tym zebrał wszystkie fakta, świadczące o polskości duszy pana Piotra, i wykazał zgubne wpływy, jakie taka polskość wyrzucić może na chłopów mianowicie. W wylizaniu faktów nie zaniedbał uwagi jego wysoko-prewoschoditelstwa zwrócić i na to, że pan Piotr ma żonę trwożliwą, lecz „niebłahonadieżną“, ma syna, który nie używa młodości jak inni, a zatem coś knuć musi w głębi duszy, ma córkę piękną, a zatem niebezpieczną w podziemnych kombinacjach polskiej intrygi.

Raport ten był arcydziełem w swoim rodzaju, a to dla tego, że płynął z natchnienia, a natchnienie płynęło z tej okoliczności, że podczas kiedy inni „russkije diejатели“ w innych powiatach mieli dziesiątkami podejrzanych i zdobywali sobie pochwały i nagrody od wyższej władzy za gorliwość, oni, w powiecie X., nie mieli ani jednego. Więc Mikołaj Michajłowicz, zaczerpnąwszy w tej bolesnej dla jego serca okoliczności natchnienia, wystosował raport z tym pióra przyciskiem, który mu wątpić nie pozwalał o powodzeniu. Spokojny, czekał na rezultat, i doczekał się go w formie „wygaworu“... za to, że takimi głupstwami „naczałstwo“ zatrudnia.

„Wygawor“ odnosił się do rozumowanej strony raportu; to jest, do tej właśnie, na której Mikołaj Michajłowicz budował nadzieję powodzenia. Co się zaś faktów tyczy, tych doniosłość władza wyższa uznała, lecz doniosłość względną, na poparcie której nakazała przeznaczyć do dozorowania pana Piotra człowieka roztropnego i prawego, i wykryć przeciwko niemu choć jeden materyalny dowód.

Można sobie wyobrazić, jak Mikołaja Michajłowicza odpowiedź podobna zmartwiła i rozgniewała! On się przekonał, że wykrycie materyalnego dowodu było niepodobnem, i dlatego zgromadził i rozumowaniem wsparł dowody moralne, za co, zamiast pochwały, dostał nosa.

— Otóż to u nas władza! — mówił do żony z gorzkim uśmiechem — łam głowę, i za to dostaniesz szcztka w nos...

— Bo tobie nie potrzeba było głowy łamać, ale robić jak inni: namówić chłopów, niech skarżą — odparła Akulina Iwanówna.

Mikołaj Michajłowicz przeto powierzył tę sprawę

mirowemu pośrednikowi, który zawiązał bezpośrednio stosunki z litynieckimi chłopami, obrawszy sobie karcznię za główną kwaterę. Lecz napróżno Lityńczan podmawiał; napróżno rozpowiadał im o Lachach, co ich ojcom ziemię wydarli, i o miłosiernym carze, który zamierzył Lachów przycisnąć a ich podnieść, i im panowanie nad dawnymi panami oddać. Chłopi z nim tę kwestyą dyskutowali i dowiedli mu, że jak niesłusznem było panowanie Lachów nad nimi, tak niesłusznem byłoby panowanie ich nad Lachami; przyznawali istnienie w przeszłości zła, lecz byli tego zdania, że zło nie naprawia się złem. Mirowy uciekł się do innych argumentów; upijał się w karczmie w celach patryotycznych, ażeby pozyskać miłość ludu dla moskiewskiego elementu, i wzbudzał do swojej osoby w dawnych poddanych pana Zawiejskiego politowanie i pogardę. Koniec końcem napróżno strawił czas i wyekspensował cały zasób poświęcenia, nie zdobył litynieckiej twierdzy, która się trzymała twardo, czerpiąc siły w spoistości garnizonu, związanego miłością. Na Lityńcach sprawdzał się cud, „z polską szlachtą polski lud“; sprawdzało się na nich polskie przysłowie: „hromada welyki czołowik“.

Nie dziw przeto, że marszałek Chabarów czuł do eksmarszałka Zawiejskiego głęboką nienawiść.

Tyle czasu stracił, tyle dowcipu zużył.

Nie dziw przeto, że winę niepowodzenia przypisywał nie sobie, a tej „swołoczy“, którą władza wyższa przysyłała na „russkich diejatelej“, i ucieszył się wielce, gdy dostał nakoniec człowieka ukształconego.

— Nu, Pantalejmon Pantalejmonowicz — mówił do niego — ja bardzo rad waszemu przybyciu... Obznajomcie się trochę, rozpatrzenie... Powiat X. jest najgorszym w całym imperium. Tu bunt milczy...

Pantalejmon Pantalejmonowicz obznajamiał się i rozpatrywał. Ciągnęło się to przez parę tygodni, po upływie których pokazało się, że przedmiotem, w którym się najlepiej rozpatrzył, była Nadzieja Mikołajówna. Pospieszam jednakże dodać, że ten przedmiot nie odrywał jego uwagi od studyów nad społeczeństwem. Przeciwnie. Tak Akulina Iwanówna, jak Nadzieja Mikołajówna stały się dla bohatera naszego niewyczerpaną studnią nieocenionych informacji, i na odwrót, Pantalejmon Pantalejmonowicz był tak dla Akuliny Iwanówny, jak dla Nadziei Mikołajówny studnią, której głąb zmieniała się dla nich we zwierciadło. W zwierciadle tem ujrzaly siebie i wielce się tem widzeniem uradowały: matka dla tego, że przypomniała sobie pułk, adjutantów, oficerów i różne różności, które się działy w niesłużbowych godzinach; córka dla tego, że owe różne różności wily się w jej wyobraźni w stanie dziewiczych rojeń i pragnień. Względem tych pań bohater nasz wystąpił jako rozgrzeszyciel, jednej za przeszłość, drugiej na przyszłość. Zrobiło się to łatwo i naturalnie, w imię wolności, pojętej nie jako prawo, a jako kontrast niewoli.



To pojmowanie jest źródłem moskiewskiego rewolucjonizmu, zależącego na posuwaniu rzeczy do ostatecznej, niemożliwej granicy. Dzieje się to skutkiem niewoli, niewoli strasznej, czarnej, rozciągniętej na cały naród i nierozświetlanej żadnym promykiem, strzelającym z narodowej duszy, skryształowanej w dziejowych czynach, żadnym promykiem idącym z przeszłości w przyszłość. Nic i nic za sobą i w sobie. Na podstawie tego „nic“ buduje się przyszłość, buduje się przez ludzi, nie posiadających bożej mocy tworzenia z niczego, a pragnących z ciemności wyjść na jaką jasność. Na jakąż? — oczywiście nie na inną, tylko z jednej ostateczności w drugą; ze strasznej niewoli w jej kontrast, wyuzdanie.

Wyuzdanie jest moskiewskiem „nihil“. Jest ono koniecznym hasłem, logicznym celem reformatorów społecznych, przymierzających zachodnie teorie do moskiewskiego narodu — teorie śmiałe, skrajne, napadające na własność, podwalinę porządku społecznego, i na rodzinę, podwalinę moralności, lecz na zachodzie trzymane na wodzy przez

społeczeństwa, czujące w sobie coś, co na panowanie zasługuje. Coś, niby droga pamiątka, tkwi tam w duszy zbiorowości społecznych i neutralizuje wpływy najskrajniejszych doktryn. Tego rodzaju pamiątki nie masz w duszy Moskali; nie mają co szanować: i dlatego droga reformatorskich teoryj jest dla nich pochyłością, na której zatrzymanie się jest niepodobnem. Na dnie tej pochyłości świeci wolność absolutna, naga, rozebrana ze wszystkiego, co krępowało, co krępuje i co krępować może, nawet z uszanowania wolności w innych — przedstawiające się w perspektywie pod postacią bachanalii, odprawianej kosztem narodów, posiadających pamiątki na poszanowanie zasługujące. Do bachanalii tej, do pohulanki przy łunie pożarów, któreby pochłonęły wszystkie zdobycze cywilizacji chrześcijańskiej i zniwelowały narody do jednej z narodem moskiewskim miary, drze się Moskal, czujący się niższym od innych. Jest w tem pycha olbrzymia, ogromnej pięści a maluczkiej duszy.

„Pereat mundus, fiat justitia“. (C. d. n.)

## SŁOWO POCIECHY.

DO KSIĘŻNY K. C.....

Z PRZYCZYNY ŚMIERCI JEJ CÓRKI K. JANINY.



Naród męczennik, sercem wiecznie młody,  
 By świat przekonać i wroga,  
 Że nic nie stłumi w nim ducha swobody,  
 Powstał ze skargą do Boga!  
 Skarga to była o śmiertelne blizny,  
 Zadane zdradzieckim ciosem;  
 Ona zagrzmiała na zgłiszczach ojczyzny  
 Olbrzymim narodu głosem!  
 W chórze walecznych, wobec tych siepaczy,  
 Co wszelki wstyd starli z czoła,  
 Wśród przytłumionych okrzyków rozpaczny  
 Głos się odzywał anioła.  
 Jego ustami przebrzmiały z kolei,  
 Piękne jak świat ideału,  
 Hymny miłości, wiary i nadziei,  
 Słowa Bożego zapału.  
 Polka z tą pieśnią w poświęcenia dobie  
 Schodząc do wieśniaczej chaty,  
 Ciernie żywota zostawiła sobie,  
 A swemu ludowi kwiaty.\*)  
 Czy to w pałacach, czy pod skromną strzechą,  
 Promienna zawsze natchnieniem,

Śpiewna Janina była nam pociechą,  
 Jakiśś nadziemskim zjawieniem!  
 Jej głos, tak piękną zwiastujący duszę,  
 W anielskim jej majestacie  
 Zachwytał serca, łagodził katusze  
 Po każdej drogiej utracie!  
 Z kłatwą na czole, z wszech uczuć wyzuty,  
 A dzikszy jak był przed wiekiem  
 Nasz wróg—oprawca przy brzmieniu tej nuty  
 Czuł, że był kiedyś człowiekiem...  
 Pieśń tęskna, rzewna, w zdrojach łez poczęta,  
 Niby za Bożym rozkazem,  
 Potęgą ducha krusząc ziemskie pęta  
 Głosiła tryumf nad głazem!  
 To było hasłem, że święte uczucia:  
 Miłość, poświęcenie, męstwo,  
 Nad światem pełnym kłamu i zepsucia  
 Odniosą także zwycięstwo.  
 Wśród zbyt krótkiego na ziemi zawodu  
 Wieszczyka, z rycerskim zachwytem,  
 Walczyła pieśnią w obronie narodu,  
 Którego była zaszczytem!

\*) Księżniczka Janina pierwsza na Ukrainie uwłaszczyła wieśniaków.



Nieraz przez zawiść i przemoc ścigana,  
Lecz mając w Bogu obrońcę,  
Padła wybranka boleścią złamana,  
By znów zajaśnieć jak słońce!  
Wtenczas krzyż Pański tuląc w swe objęcia,  
Niebianka, swych sióstr zwyczajem,  
Głosiła jakieś tak cudne zaklęcia,  
Że ziemia zdała się rajem.  
Tam przy arf dźwięku brzmiały wieszczce słowa,  
Niby harmonijne fale,  
Tam Polska wielka, braterska, ludowa  
Jaśniała w całej swej chwale!  
W tem — burzą jękło ojczyście przestworze,  
Lutnia ztraskana piorunem...  
A w dali mary — na nich — wielki Boże!  
Janiny pierś pod całunem!

Straszny wyroku! Losy niepojęte!  
Czyż wieczną ścigane karą  
Wszystko, co piękne i wzniosłe i święte,  
Musi być zbrodni ofiarą?  
To nasza doła! Lecz bluźnić nie trzeba  
Po stracie wyższej istoty,  
Co z wieszczą pieśnią wróciła do nieba  
Z naszej ojczystej Golgoty!  
Tam droga siostra, wśród aniołów grona,  
Z palmą w zwyciężkiej prawicy,  
Za nami błaga, z swym synkiem u łona,  
Przed tronem Boga — Rodzicy!  
Matko sieroto! twe zbolełe skronie  
Niech słuszna дума uświęci;  
Już twa Janina ożyła po zgonie  
W sercach i w ludu pamięci!

LIRNIK Z UKRAINY.

## K r o n i k a

(Ciekawa misya dyplomatyczna.) Gdy Seward był jeszcze pierwszym ministrem Stanów zjednoczonych, — opowiada jeden z dzienników amerykańskich — wysłał on generała Mac Cooka na wyspy Sandwichskie, ażeby ułożyć się z ich królem o przyłączenie jego kraju do Stanów zjednoczonych. Król Kamehameha zaprosił posła ze sobą do najbliższej piwiarni dla załatwienia tej ważnej sprawy, i zasiadłszy przy kufiu piwa rzekł: „Widzisz pan, teraz jestem królem tych wysp, nie mam nic do czynienia i pobieram za to rocznie 40,000 dolarów, — więcej niż prezydent. Jeżeli sprzedam wyspy, odpadnie moja płaca, i nie będę już królem, tylko obywatelem Stanów zjednoczonych, i to wcale nie znakomitym; a w końcu możeby mię nawet ulicznicy przezywali Nigrem. Sądzę więc, że lepiej uczynię pozostając królem“. Jenerał Mac Cook wypił swoje piwo, zrobił minę bardzo dyplomatyczną i rzekł: „Niema co mówić, królu, nasz rozum“. I na tem skończyła się jego misya dyplomatyczna.

(Cudowny lekarz.) Ciekawem zjawiskiem jest teraz w San Francisco w Kalifornii niejaki doktor Mac Bride, czyli „Król bolu“ (King of pain), jak sam się nazywa. Leczy on radykalnie wszelkie możliwe rodzaje bólów, tak mówiąc na poczekaniu, i to jedną i tą samą miksturą — używaną tak wewnątrz jak i zewnątrz. Cudowne to lekarstwo, zawarte w małych flaszczykach sprzedawanych po pół dolara, ma odrażający odor i składa się po największej części ze spirytusu kamforowego, który bardzo prędko się ulatnia. Jeżeli jest prawdą choć cząsteczka tego, co podług twierdzenia wielkiego doktora Mac Bride działa jego lekarstwo, natenczas powinaby wdzięczna ludzkość uwielbiać go słowem i piśmie od bieguna do bieguna jako największego dobroczyńcę swego. „Ja zdołam więcej bolu i cierpienia usmierzyć (tak anonsuje doktor swój balsam) i doskonalszą przywrócić równowagę wszystkich soków krążących w ciele ludzkim, niż tego dokazał i dokaże kiedy jakikolwiek

inny środek lekarski“. Szacowna ta medycyna leczy cholere, biegunkę, krwiotok w jednym dniu, ból głowy i uszu w trzech minutach, ból zębów w minucie, ból gardła w dziesięciu minutach, kolki i kurcze w pięciu minutach i t. d. Niesłychany odbyt i sławę swego cudownego balsamu, który jak się samo przez się rozumie — tylko w urojeniu posiada moc uzdrawiającą, zawdzięcza Król bolu humbugowi, który nawet w Ameryce nie ma równego sobie. Chudy jak szczypa, o graniastych członkach i ostro zarysowanej twarzy — figura, która już sama przez się wpada w oczy, używa cudowny doktor jeszcze sztuki do pomocy, ażeby ściągać na siebie uwagę publiczności. Ubiera się zawsze czarno, nosi nadzwyczajnie długi surdut, spadającą aż na ramiona perukę z poburzonymi lokami, i ogromny kapelusz o szerokich kresach. Jego wizerunek w naturalnej wielkości paraduje w tym dziwnym stroju na ścianach wszystkich znaczniejszych restauracyj, w hotelach, po rogach ulic, parkanach, i gdzie tylko jest stosowne miejsce na to — słowem, Król bolu wзира z każdego kąta. We dnie jeździ dużym otwartym powozem sześciokonnym po głównych ulicach miasta. Powóz ozdobiony jest ogromnymi plakatami z napisem: „King of pain“; z przodu siedzi cały tuzin muzykantów, którzy rozdzierają uszy swoją jańczarską muzyką, a z tyłu na wywyższeniu siedzi jak na tronie ów szarletan we własnej osobie, i spogląda z zadowoleniem na gapiący się tłum, który ciągnie za wozem tryumfalnym. Wieczorem zatrzymuje się powóz na rogu jednej z najludniejszych ulic miasta, obłożony gęstymi tłumami. Dwóch pacholków z pochodniami w ręku stoi obok powozu; pstre latarnie japońskie wiszą na nim, a dokoła jaśnieje ogień bengalski i oświeca swym krwawym blaskiem cudowną postać i poważną twarz Króla bolu, który stojąc na wysokości zachwyca publiczność nadzwyczajną wymową i szczególniejszymi ruchami, a wśród tego wykonuje bezpłatnie swoje cudowne kuracze. —



„Nie dla podłego zysku — mówi on — leczę ja cierpiącą ludzkość, lecz tylko z czystego społecznia. Pieniądzy mam dość, nawet więcej niż potrzebuję. Sprzedają też to nieoceniene lekarstwo tylko po pół dolara, co zaledwie kosztą przyrządzenia pokrywa, a to dlatego, ażeby i najuboższym nastęrczyć sposobność do pozbycia się swoich cierpień“. Potem opowiada o swoich cudownych kuracyach; jak w Cincinnati wyprostował kulawego, który natychmiast z radości odrzucił swoje kule i tańczył walca na ulicy; jak w Battimorze zupełnie ślepcowi przywrócił wzrok w pięciu minutach, w Nowym Orleanie tyśiące wyleczył z żółtej febry lub z cholery, i t. p. Nareszcie wzywa każdego, kto czuje ból jakiś, ażeby przyszedł do niego do powozu, a wyjdzie zdrowym niezawodnie. Z pośród tłumu wylazi ktoś z obwiązaną głową i skarży się na okropny ból zębów. Król bolu zdiera mu chustkę z głowy, wylewa mu całą flaszkę śmierzdzącej medycyny na policzek, wstrzykuje mu jej do nozdrzy, że omal się nie udusi, szarpie i ciągnie go za nos i uszy, naciera mu gwałtownie głowę, a w końcu okręciwszy odurzonego w ten sposób pacyenta kilka razy wkoło zapytuje go: „How do you feel?“ (Jak ci jest teraz?) — Biedak odpowiada, że jest już zdrów, i stara się wyleźć z powozu; wszystko się raduje, i ze wszech stron sypią się jak grad półdolariki za szacowne lekarstwo, gdy tymczasem ów szalbierz tnie mowę do publiczności z takim krasomówstwem, że potrzeba słyszeć samemu, ażeby mieć wyobrazenie o tem. W podobny sposób odgrywa się komedia co wieczora po kilka godzin, i przedsiębiorstwo idzie doskonale. Król bolu urządza je już na wielką skalę; ma filię w Nowym Yorku, gdzie też fabrykują to szacowne lekarstwo, tudzież agentów swoich na prowincyi i w wielu innych miastach Unii. Wystawnie urządzony skład jego balsamu przy jednej z głównych ulic w San Francisco ma wielki odbył. Każdy dziennik tego złotego miasta ogłasza jego anonsy i łokciowe certyfikaty. W samem mieście San Francisco miał on w przeciągu trzech miesięcy sprzedać 45,000 flaszek, a w ostatnich dwóch latach ogółem milion. Mieszka on w jednym z pierwszych hotelów miasta. Dochody jego muszą być ogromne, by pokryć olbrzymie kosztą całego humbugu; ale samo lekarstwo kosztuje go prawie tyle tylko, ile wynosi wartość flaszki, zawierającej zaledwie dwie łyżki cudownej mikstury, a reszta jest czystym zyskiem. Przed dwoma laty jeszcze był Mac Bride chudopacholkiem i graczem z profesyi w Nowym Yorku, zkąd po niemiłym zajściu ze sądem wyniósł się do Kalifornii. A dziś dzięki swej przemianie w cudownego lekarza ma najpewniejsze widoki zostać milionerem.

(Sultanka Valida). Największego rozmiaru obraz pozycia domowego na wschodzie, a tem samem największe gniazdo intryg, czarów, zazdrości, nienawiści i miłości, przedstawia harem Sultana, który w ogóle zupełnie tak jest urządzony, jak niegdyś harem króla Salomona. Dawniej liczyły haremy cesarskie do tyśiąca kobiet, terazniejszy zaś Sultana zredukował go na trzecią część tego. Połowę haremu stanowią murzynki, które spełniają niższe usługi. Trzydzieście niewolnic przeznaczonych jest do usługi dla sultanek (kadyń), a czternaście dla siedmiu pierwszych dam dworu. Cała rzesza niewieścia dzieli się na cztery klasy: Gedeklity (wybranki), Ustaje (panie),

Schahzierdy (nowicyantki) i Dscharye (niewolnice). Pierwsza z tych klas ograniczona jest na dwanaście głów, i wybierane bywają do niej najpiękniejsze i najlepiej wykształcone istoty, które pełnią służbę paziów przy Sultanie. Najwyższy stopień w haremie Sultana zajmują kadynie czyli żony Sultana, których ranga stosuje się do czusu ich wywyższenia. Matka pierworodnego księcia ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi, ale dopiero po wstąpieniu swego syna na tron przybiera tytuł Sultanki Validy. Matka panującego teraz Sultana nazywa się Beima allem, tj. ozdoba świata. Była ona niewolnicą georgiańską i została dzieckiem jeszcze sprzedana do Stambułu.

Żeński pawilon Seraju (pałacu sultańskiego) znajduje się w samym środku. Nosi on nazwę: Siedziba szczęśliwości, i pierwszym władcą jego jest Kislar-Aga, tj. dozorca dziewcząt. Komnaty kadyń są bardzo skromne. Pewien podróżnik niemiecki, który miał sposobność zwiedzać je pod niebytność ich mieszkanek, tak opisuje te odwiedziny: „Otwiera się długi korytarz; po jednej stronie jego znajduje się siedmioro drzwi, a nad każdą z nich wypisane jest imię. Przeciwległą ścianę zdobią liche, kolorowane litografie, odnoszące się po największej części do historii Napoleona. Wchodzimy do pokoju o dwóch oknach; i cóż się w nim znajduje? Dwa dywany, cytra o metalowych strunach na ścianie, posadzka okryta kosztownymi kobiercami, kilka aksamitnych podnóżków, uboczny alkierz z czystym łóżkiem, ale tylko o jednym oknie, które jak i dwa pierwsze wychodzą na zamknięty jak w klasztorze lub twierdzy dziedziniec; a zresztą nie widać nigdzie nawet stolika. I tożto ma być ów wymarzony przepych haremu, a do tego jeszcze sultańskiego? Wszystkie sześć dalszych pokoi nie różniły się niczem od pierwszego, chyba brakiem cytry. Czemże mogą się bawić ich mieszkanki? Tańcem, a właściwie mówiąc, ewolucjami gimnastycznymi właściwego rodzaju, plotkami, strojami, zjadaniem cukierków i paleniem tytoniu. W najnowszych czasach weszło w modę w haremie, bawić się muzyką i brać lekcyę na fortepianie, i jedna z nauczycielek muzyki w Konstantynopolu zebrała już z samego haremu znaczny majątek. Także dawać się portretować, naturalnie przez malarzów żeńskich, ma należeć do mody. Epoki w tem jednostajnem życiu więziennem stanowią tylko odwiedziny sultańskie i częste przenosiny z jednego pałacu do drugiego.“

(Już po stenografii!) Dziennik „Neue Züricher Zeitung“ donosi o następującym nowym wynalazku: „Pan Teodor Zuppinger w Mannedorf wynalazł mechanizm, który wyrzeczone słowa bezpośrednio spisuje. Wynalazek ten polega głównie na tem żeby organów mowy używać nie tylko do mówienia, ale także bezpośrednio do pisania. Mały, nader zmyślny mechanizm (cała maszyna nie jest większa od dłoni) łączy się w taki sposób z organami mowy, że każde poruszenie języka, ust, podniebienia itp. przenosi się na mechanizm, którego przyrząd jest tak sztuczny, że każdy podany ruch działa na właściwą część aparatu do pisania. Z maszynki wysuwa się w ciągu mowy wązkie pasmo papieru (podobnie jak w aparatach telegraficznych), na którem można to, co się mówiło, czytać czarne na białem we właściwym piśmie. Pismo to składa się, jak zwyczajne pismo telegraficzne, z kropek i kresek, które jednak nie następują po sobie w jednej linii, lecz grupują się



obok siebie w pięciu liniach; każdej głosce i wszystkim zgłoskom odpowiadają osobne grupy, tak, że powstaje szczególna różnaitość znaków pisemnych; można też mówić jakimbaż językiem, a najosobliwsza jest przytem to, że odmienny sposób wymowy uwidocznia się pewnemi zmianami w dotyczących znakach pisemnych. Ponieważ zaś papier wysuwa się z jednakołą zawsze szybkością z przyrządu, przeto zachowuje to pismo nawet rytm języka. Wymówiony powoli wyraz okazuje się w piśmie rozciągle, znaki pisemne odstają daleko od siebie; przy szybkim mówieniu skupiają się więcej. Ponieważ maszyna oddaje w formie znaków pisemnych poruszenia młuszków mówiącego, poruszenia organów mowy, przeto nie potrzeba wcale mówić głośno; można zatem używać tej maszyny do stenografowania, powtarzając zcicha słowa mowcy piszącemu przyrządowi. Wynalazca spodziewa się też, że jego wynalazek właśnie w tym kierunku znajdzie najprędzej praktyczne zastosowanie. Używania maszyny potrzeba naturalnie nauczyć się; potrzeba też koniecznie wymawiać słowa czysto i wyraźnie; ale to nie może przeszkadzać jej użyciu. Najtrudniejszym jest czytanie pisma, a to dla nadzwyczajnej różnaitości znaków pisemnych; ale wynalazca posiada klucz do niego, i gotów jest obznajomić z nim każdego, ktoby tego pragnął.“ Czegoż to ludzie nie wynajdą jeszcze!

(Wyprawy do bieguna północnego.) Przedsiębrane w ostatnich czasach wyprawy w zlodowiałe strony północy, tem głównie różnią się od poprzednich, że wyłącznym ich celem jest dotarcie do bieguna i pozyskanie naukowych zdobyczy, a w szczególności zbadanie magnetyzmu ziemnego, zjawisk tellurycznych i rozszerzenie wiedzy w zakresie orografii, hydrografii, mineralogii, botaniki, zoologii i samej budowy ziemi. Zdaje się, że kwestya odkrycia drogi z Oceanu Spokojnego na Atlantycki w podbiegunowych obszarach w dzisiejszych ekspedycjach na drugim pozostała planie; o ile bowiem wnieść można, podróże M' Clur'a i Franklina kierunek tej drogi od zachodnich brzegów Grenlandyi, przez zatokę Lankastra, Barrow'a, Peel'a do cieśniny Beringa, dostatecznie wskazały. Do najważniejszych w ostatnich latach do bieguna północnego przedsiębranych podróży należy wyprawa urządzona staraniem dr. Petermanna z Gotha. Rządy austriacki i pruski, głównie zaś bogaty Hamburg, przyłożyły się najwięcej do urzeczywistnienia wyprawy. W tym celu gotajski kosmograf, zakupiwszy mały parochód w Anglii, wyprawił go na dalekie morza; rządzone atoli przez burzę uszkodzenia statku wkrótce zniewoliły uczoną osadę do powrotu. Chwilowe to wszelako niepowodzenie i wojna w następnym roku wstrzymały nieco, ale nie zachwiały dr. Petermanna w spełnieniu zamierzonego dzieła. Jakoż zebrawszy z dobrowolnych ofiar 15.000 tal., zakupił w Norwegii statek, który w d. 24. maja 1868 r., pod kierunkiem kapitana Karola Koldewey z osadą z 12 osób złożoną, z portu Bergen w Norwegii, pod żagle wyruszył. Okręt Petermanna, ochrzczony imieniem Germania, już w d. 8. czerwca dotarł do 75° szer., napotkane atoli gęste lody zniewoliły go zwrócić się w północno-wschodnią stronę Grenlandyi ku Spitzbergowi, do którego Koldewey dotarł w d. 3 lipca; najwyższym zaś w tej śmiałej podróży dościgniętym punktem był 81° szer. półn. W ogóle rok 1868 z powodu nagromadzonej w tych stronach znacznej

massy lodów nie sprzyjał wyprawie; mimo to kapitan Koldewey poczynił zajmujące dla nauki spostrzeżenia pod względem określenia nieznanych dotąd krańców zatoki, prądów, kierunku wiatrów i połowu psów morskich. Trzy dobre fokki wydają beczkę tłuszczu. Najliczniejsze ich gromady napotykają się w okolicach Spitzbergu i Jan-Mayen. Jeden okręt rybacki w ciągu tygodnia ubił 6.000 psów.

Drugą podbiegunową wyprawę, staraniem króla szwedzkiego Oskara i sztokholmskiej akademii wysłaną, przedsięwziął profesor Nordenskiöld w dniu 20 lipca 1868 roku z portu Tromsøe, na statku Sofia, i już w dniu 31 sierpn. t. r. dotarł do tak zwanej zatoki lodowej na Spitzbergu. Ważniejszą jego zdobyczą naukową było odkrycie wielu geologicznych gatunków i przedmiotów kopalnianych z okresu miocenicznego, a które posłużyć mogły za dowód, że klimat Spitzbergu był niegdyś o wiele łagodniejszy, jak przekonywa znaleziony tu w pokładach węgla kamiennego szkielet krokodyla. Wnętrze Spitzbergu pokrywają lodowiska, niższe tylko jego stoki w porze letniej objawiają oznaki wątłej roślinności. Linia śniegowa dosięga 1, 200 do 1,500 stóp. Na wybrzeżach pływa mnóstwo drzewa, które, jak można wnosić, przynoszą tu rzeki syberyjskie do jeziora Karyjskiego wpadające. Góry Spitzbergu kryją w swem łonie obfite pokłady węgla kamiennych. Prof. Nordenskiöld trafił na warstwę milę długą, a cztery stopy grubą.

Wyprawa szwedzka, równie jak pruska Dra Petermanna, nie posunęła się poza 85° szer. półn. Burze, gęste lody i uszkodzenie statku zniewoliły profesora Nordenskiölda do powrotu na Spitzberg, zkąd w d. 11 października zawiązał szczęśliwie do portu Tromsøe.

(Potomek królewski). Wzeszłym miesiącu umarła w Paryżu biedna kobieta w wieku lat 97, znana na targu w Hallach pod imieniem „matki Credit“ (mere Credit). Była to córka markiza Piotra Jana Juxta-Credit, który w 1792 roku skończył na rusztowaniu. Po śmierci ojca córka wzięła się do handlu rybami. W młodości nazywano ją „petite Credit“, a potem „matką Credit“. Matka zmarłej była córką Antoniego de Rentremont, naturalnego brata Antoniego Bourbon, i za panowania Ludwika XVI. zapoznała hrabiego Cagliostro z kardynałem Rohan. Po śmierci opiekunki „matka Credit“ dalej swój handel prowadziła, i niewiele zapewne z kupujących wiedziało, że nabywa ryby od potomka królów francuzkich.

(Żydzi Abissyńscy). Halevy, znany podróżnik po Abissynii, w rocznikach towarzystwa geograficznego francuzkiego, podaje następującą wiadomość o zamieszkałym w tym kraju plemieniu izraelitów, znanem pod ogólnem imieniem Falasza czyli przybyłcy. Plemię to, wyznające religię mojżeszową, tak powierzchownością jako i ubiorem nie różni się prawie od krajowców. Tłumaczenie biblii uległo tu niektórym zmianom pod wpływem miejscowym; w ogóle sekta Falasza różni się nieco od rabinistów, karaitów i samarytanów. Wielożeństwo w niej nie ma miejsca; obrzezania dopełniają siódmego dnia, nadając przytem dzieciom imiona hebrajskie. Dzieci uczą się biblii, psalmów, modlitw i historii świętej. Podczas nabożeństwa każda pleć oddzielnie zajmuje miejsce. Piękne swoje modlitwy i nadzieje uszczęśliwienia zwracają do Jerozolimy, wiara zaś w przyjście Mesjasza jest dość ciemna. Języka hebrajskiego,



jak równie zwyczajów wprowadzonych od czasów Ezrasza, nie znają. Nie obchodzą świąt Hanukah ani Purim; ściśle atoli obchodzą dni sabatu i niektóre miesięczne pół-święta; nadto w każdym miesiącu przez ośm dni wstrzymują się od pracy. Pobożni zachowują post w poniedziałki i czwartki.

W dniu 9. miesiąca Ab obchodzą pamiątkę zburzenia Jeruzolimy. Rzeź bydła odbywa się tu podług odwiecznie przyjętych zwyczajów. W dni świąteczne czynią ofiary za spokój zmarłych. Kobiety uważane są na równi z mężczyznami; nie zakewiają oblicza, i nie są trzymane w haremach. Służba niewolnika trwa lat sześć. Ogólna liczba Falaszów w Abisynii wynosi 250.000 dusz.

(Mowa za jakąbądź cenę). Pewnego dnia zaproszony został Palmerston, ażeby we wsi Hampshire przewodniczył jakiejś miejscowej uroczystości. Pewien nowiniarz dziennikarski dowiedziawszy się o tem pospieszył na miejsce; gdzie stanąwszy równocześnie z Palmerstonem zgubił się w tłumie i chwycił chciwie każdy szczegół. Uroczystość odbyła się, i

Lord Palmerston — rozdawszy kilkunastu dziewczom nagrody cnoty, wracał spieszenie do swego powozu, ażeby odjechać. Ale to nie przypadło wcale do gustu nowiniarzowi; zastąpił więc Lordowi drogę i zawołał: „Milordzie, tak nie uchodzi!“ — „Cóż to ma znaczyć, mój panie?“ — zapytał Palmerston zdziwiony. „To znaczy, że udałem się za tobą, Milordzie, z Londynu, ażeby spisać mowę, którą mieć będziesz przy tej uroczystości. A ponieważ nie przemówiłeś ani słowa, czuję się dotkniętym w moim powołaniu, jestem narażony na stratę i mógłbym ucieść na sławie. Ja muszę mieć mowę twoją, Milordzie, za jakąbądź cenę; mów, co ci się podoba, ale mówić musisz!“ — I dobroduszny Lord — jestto fakt historyczny — wrócił się istotnie, powstrzymał skinieniem zgromadzenie, które chciało się już rozchodzić, i mówił dość długo o cnotach niewiast w ogóle a kobiet w Hampshire w szczególności. Nowiniarz odszedł zadowolony, a kobiety wróciły do domu promieniejące radością.

## REBUS.



## Sz ar ad y:

I.

Silna, mglista pierwsza z drugą,  
Pierwsza z czwartą z kijem krewne,  
Trzecia z drugą nutą długą  
Tony tobie wyda rzewne.  
A wszystko litość obudzi w tobie,  
Mówiąc ci o człowieku podległym chorobie.

II.

Gdy płacz dziecka matka koi,  
Zwykle czyni pierwszą z drugą;  
Kiedy trzecia sama stoi,  
Choć nie okryta zasługą,  
Tak się zwykle tytułuje.  
Wszystko w kwiatkach się znajduje.

Rozwiązanie szarad w zeszycie IV.: I. Polak. — II. Tajemnica.

### Od wydawnictwa „Strzechy“.

Warszawskie czasopismo ilustrowane „Kłosy“ przyniosło w 248. numerze swoim z d. 19. marca r. b. drzeworyt z podpisem: „Czaty“ obraz J. Mireckiego z wystawy obrazów Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem. Ponieważ rycina ta przedstawia jota w jotę to samo, co tegoroczna premia nasza, przeto oświadczamy dla uchylenia wszelkich podejrzeń, że premia nasza jest kopią oryginalnego obrazu Fr. Streita, który znajdował się na przeszłorocznej wystawie obrazów we Lwowie, i który wydawca „Strzechy“ nabył od autora na własność.